AS



Nr. 19
7 MAJA 1939 ROKU
CENA 40 GROSZY

PORTRET
ARTYSTKA HOLLYWOODU
HEDY LAMARR

Karnawał po interesie

Dr JÓZEF SŁOTWIŃSKI *SZKIC*

Władysław Łoziński w swej świetnej kronice dawnych obyczajów i spraw polskich, mówiąc o charakterze ichmość panów, podkreśla z pietyzmem przedziwną żyłkę podróżowania, wyjazdów i włóczenia się po świecie szlachty, która musiała co pewien czas szukać nowych wrażeń, nowych plotek, nowych znajomości i nowego piwa. „Complures libenter peregrinantur" — mówi Kromer o nich, a Francuz Laboureur nazywa ich „les plus grands voyageurs de l'Europe".

Skłonności te jednak nie były objawem nie mającym poważniejszych podstaw i historja kultury i obyczajów, notująca dość szczegółowo owe bliższe i dalsze peregrynacje dopatruje się w owym znamiennym fakcie nietylko podróżomanji. Dość wspomnieć owe błogosławione wyprawy po laury poetyckie w okresie renesansu, dość podkreślić rolę przeróżnych legacyj, które w różnych Wiedniach i Rzymach zmuszały obcych panków, nieświadomych spraw naszych, do zdejmowania kapelusza przed polskim panem.

Ale nie chodzi w tej chwili o kontakty z zagranicą — pozostańmy w obrębie kraju, gdzie równie mile i chętnie „wozić się" można po okropnych drogach, klawiszowatych mostach i niebezpiecznych przez rzekę przeprawach, gdzie wypada co pewien czas zasięgnąć języka na sejmie i sejmiku, być na rokach i roczkach, lub w wojewódzkiem mieście „oblatować jakiś przywilej, munimient, intercyzę, aktykować coś ku wiecznej rzeczy pamięci, obdukować, manifestować lub się protestować".

A jeśli do tego dodamy jeszcze podróż dla ożenku — wbrew przysłowiu „sprzedaj konie daleko, ale żeń się blisko", jeśli uznamy konieczność zaciągnięcia długu lub pożyczenia na dobry procent i jeśli żona pana brata uzna za konieczne pokazanie latorośli w leciech podbiegłej na szerszej arenie — nikt się nie może dziwić, że podróże i masowe pielgrzymki były częścią składową życia staropolskiego.

Wśród rozlicznych okazyj do wyjazdu, była raz na rok już z dawnych czasów, bo od połowy XVII wieku, okazja najprzedniejsza, w doskonałym postawiona czasie, bo w styczniu i lutym, kiedy to i roboty niewiele było przy gospodarce i drogi pokryte śniegiem umożliwiały dobrą peregrynację. Okazją tą były tzw. kontrakty, o których Walerjan Stroynowski, polski ekonomista z końca XVIII-go w. tak się wyraża: „W Polsce od lat kilkadziesiąt był ten zwyczaj zaprowadzony między właścicielami ziemi, że w oznaczonym czasie zjeżdżali się właściciele z kilku prowincyj do pewnego miasta raz na rok dla załatwienia między sobą wszystkich interesów. Taki zjazd do interesów nazywał się kontrakt. Wyobrazić sobie tem potrzeba wielki jarmark między właścicielami ziemi, wielką wygodę i ułatwienie interesów czyniący. Tam przedawano dobra i kupowano, zastawy, dzierżawy dóbr czyniono, pożyczano pieniędzy i wypłacano je".

Kontrakty — jednem słowem — były wielką giełdą ziemiańską, ośrodkiem spraw finansowych, momentem w życiu szlachcica pierwszorzędnej wagi, kiedy sprawdzało się całoroczne obliczenie skrzętnie w domu czynione, kiedy można było wypłynąć lub upaść, zyskać kredyt lub go postradać, bo sprawy majątkowe stawały się w czasie tych dni rzeczą publiczną — a nieprzyjazd na nie podawał w poważną wątpliwość dobre imię i dobrą sławę majątku obywatela. Ta niesłychana popularność kontraktów, odbywających się w kilku wielkich miastach Rzeczypospolitej w ciągu roku wzmagała się jeszcze bardziej, gdy równocześnie towarzyszyła im jakaś kadencja sądów ziemskich, jakiś wielki jarmark — lub — co może najważniejsze — jakiś uczciwy sejmik. Polityka, interesy i roki sądowe — to najwspanialsza atrakcja o jakiej marzył przez dwanaście miesięcy brat — szlachcic. A tu nieraz podawano mu je naraz, jak świetne danie, które łatwo było zalać jeszcze dobrem piwem w świetnej kompanji.

To jednak jeszcze nie wszystko, co można powiedzieć o dawnych kontraktach, specjalnie nie wszystko, gdy weźmiemy pod uwagę jedno z najświetniejszych, jakiemi były niewątpliwie kontrakty lwowskie.

Lwów bowiem w ostatnich dwóch wiekach był jednem z najznaczniejszych miast Rzeczypospolitej. Składał się na to i główny trakt przezeń wiodący, i świetny handel zbożem podolskiem i znaczne od Warszawy oddalenie, które utrudniało nadmierny zbytek, zmniejszało wymaganie i pozwalało wiele pieniędzy zatrzymać w kieszeni.

Klęską dla lwowskich kontraktów był podział kraju. Była to jednak klęska z punktu widzenia obrotów pieniężnych i dokonanych transakcji, których nie mogła ożywić ani interwencja i poparcie obcego rządu, ani dwukrotne przeniesienie terminu otwarcia na miesiąc luty i maj w 1798 i 1806 r. Kontrakty w tym sensie upadają; dziwnym się więc wydaje, że przetrwały te trzytygodniowe imprezy i rozbiory i zawieruchę wojenną, aby zaniknąć dopiero około połowy XIX-go wieku.

Wyjaśnienie dają nam i odpowiedź bardzo liczne pamiętniki owych czasów z Ochockim i Rohrerem na czele, a dalej rąbka tajemnicy uchyla kronika towarzyska gazet lwowskich, czy to „Rozmaitości" czy „Gazety lwowskiej". Oto Lwów, który stracił wiele pod względem atrakcyjności dla ludzi interesu, staje się po roku 1772 stolicą życia towarzyskiego, stolicą świetnych zjazdów z całej Polski, zjazdów wielkopańskich i szaraczkowych, zjazdów na karnawał i zabawę, na redutę i maskaradę.

Zaraz po nowym roku miasto przybiera odświętny wygląd. Wszyscy spoglądają ku rogatkom i zgadują, kto przyjedzie, kto już jest, kto otworzy salony dla licznych gości. „Eutuzjastyczność" gościnności może się popisać przed najpierwszemi personami, które karawaną istną ciągną z ogromnemi pocztami na wielką zabawę i radość. Kolebki, kocze, karety, kolasy — w śnieg wielki — sanie, a potem wozy z kuchnią, wozy skarbne z pościelą, czeladne i ktoby tam wyliczył, walą po słynnych kocich łbach do swoich pałaców, dworków — a co pomniejsi do klasztorów i marnych zajazdów, które rozsiadły się przy rogatkach i na przedmieściach. Najgorsze są dla przyjezdnych te nowe „cesarskie" bruki, które torturują i zmuszają delikatne damy do interwencji u gubernatora, aby je choć dla mniejszego wstrząsu jadących karet słomą potrząsnąć kazał.

Ruch niepospolity ogarnia całe miasto. W noc jest widno jak nigdy, dworki jak latarnie świecą i przygotowują się do wielkich karnawałowych batalij.

Ciężar „odpowiedzialności" przeszedł z barków ichmość pana, który mało transakcji może już teraz załatwić, na barki jego dostojnej małżonki. Trzeba się wszak godnie okazać, bo pół Warszawy zwaliło do Lwowa. Otwarto już domy świetne wojewodziny Potockiej, Tarnowskich, arcybiskupa Kickiego, starosty Kalinowskiego, miecznikowej koronnej Humieckiej i najsłynniejszej wśród słynnych pani Kossakowskiej, która groźna i dla cesarza i dla króla i srodze nań zagniewana, siedzi sobie na górze Jura i karmi różną biedotę literacką. Lwów, niewiele więcej liczący nad 30.000 mieszkańców, staje się stolicą głośną, wybitą ludźmi, wesołą, rozbawioną i w miarę frywolną. Pełno pieniędzy i splendorów pełno. Będą szaleć i grać w karty, grać bez pamięci i miary, jak czyni to Adam Poniński, Wendorf, Potocki i Kalinowski.

Nic też dziwnego, że kiedy pan małżonek poszedł za interesami na „giełdę" do sal redutowych przy teatrze, albo do słynnego kasyna Höchta lub do pałacyku Potockich, żona jego troskliwa czyni ostatnie zakupy w sklepie galanteryjnym u Nagożewskiego, Machowskiego czy u braci Bürgerów, chcąc, aby dorodne córki godnie się okazały na balu u wojewodziny. Nic też dziwnego, że słynna z szycia sukien dekorowanych tiulem, gazą i kwiatami pani Papiusowa — majątek dobry zbija, bo każdej szanującej się niewiasty toaleta musi stanąć u niej.

Rachunki tymczasem rosną niepomiernie i kiedy zbliża się uroczysty wieczór, wieczór może decydujący w karjerze córki, trzeba uśmierzać, jak się da, zły humor ojca rodziny. Trudno też zadecydować dokąd pójść, gdzie lepszą partję zastać można. A tu „codzień była reduta, codzień piknik, codzień birgerball; wszędzie pełno, wszędzie młodzież z miejsca na miejsce po dwa razy przechodziła. Nadto jeszcze partykularne zabawy, w kilku przynajmniej domach proszone wieczory, po magnackich pałacach bale" — mówi świadek naoczny. Byłoż to doprawdy wielkie zmartwienie dla pani matki, tem jeszcze większe, że się srogi ojciec zawziął, że na redutę żadną do lokalu Niemca Bulli nie pójdzie, bo tam ludzie nakształt błaznów poprzebierani za pasterzy, Turków, Włochów i Żydów różne dziwy wyprawują, a nawet i na bal do wojewodziny Potockiej iść się ociąga, bo tam ten młodzik Ochocki — pożal się Boże — w czarnem przyodzieniu — niby na stypę przychodzi, a młodzież go małpuje. Wogóle nie wsmak idzie starszyźnie to, co się w kochanym Lwowie dzieje. Nigdy tu znowu nie było tak bardzo srogich obyczajów, a teraz to pono kobiety są strasznie skłonne do wszelkiej zdrady. Ba, publicznie się mówi, że „nie mieć przyjaciela jest sromotą, a nawet tałatajstwo na birgerbaliku, albo i na Wałach nie pokaże się bez syzysbeja". Miarą tych obyczajów niech będzie tajna konfederacja, zawiązana przez Kossakowską, Potocką, Kamińską, Humiecką pod wodzą arcybiskupa Kickiego, która chciała poprawić upadek obyczaju lwowskiego. Była to jednak praca syzyfowa i kroniki o pozytywnych jej wynikach nie wspominają.

Nadomiar złego niezmierna ilość imprez różnego rodzaju podważała całkowicie możność statecznego życia i współżycia na łonie rodziny. Pan mąż załatwiał interesa nieraz przydługo po godzinie dziewiątej, kiedy to zamykano podwoje reduty, pani małżonka „stalowała" suknie, panny opowiadały sobie ploteczki zgoła nie panieńskie, a panicze za przykładem Rzewuskiego pobierali lekcje konnej jazdy w cyrku, wyciągając od ojca pieniądze, bo taka przyjemność trzy złote za godzinę kosztowała.

Jasną zdecydowanie stroną szaleństwa karnawałowego w okresie kontraktów będą dwa fakty. Jednym jest to, że i księgarze w on czas nienajgorsze interesa czynili, drugim jest ożywienie w teatrze pana Bogusławskiego, który przez lat kilka we Lwowie świetnie przedstawienia dawał — a stargane finanse poreperowywał w okresie kontraktów. Bo oto, kiedy tylko sposobność się nadarzyła, rozbawione towarzystwo gromadą ciągnęło do zimnej i ponurej sali starego teatru przy kościele i choć często gęsto szlachcicowi bratu oliwa z żyrandola na podgoloną czaszkę kapała, entuzjazmom nie było końca. „Krakowiacy i Górale" — obok przyjezdnych Warszawiaków — dobrze spełnili swoją rolę.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

ZAŁOŻYCIEL I WYDAWCA: MARJAN DĄBROWSKI
REDAKTOR: JAN MALESZEWSKI
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). – TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.
PRZEKAZ ROZRACHUNKOWY Nr. 11 PRZEZ URZ. POCZT. KRAKÓW 2

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.
CENA NUMERU W LITWIE 50 CT.

Numer 19 **Niedziela, 7 maja 1939** **Rok V**

ASY NUMERU 19-GO:

KARNAWAŁ PO INTERESIE.
O zamiłowaniach podróżniczych dawnych Polaków i o tem, jak się odbywały słynne na całą Polskę kontrakty we Lwowie, będące niezwykle charakterystyczną cechą ówczesnej Polski. Str. 2.

LATAJĄCY HOTEL.
W zakresie lotnictwa pasażerskiego zyskała Anglja najwyższe rekordy, to też samoloty kursujące na licznych szlakach, które łączą najodleglejsze miejsca globu ziemskiego, zasługują na wyjątkową uwagę. Str. 4—5.

GDY KWITNĄ MORELE...
Jak rozwija się hodowla moreli w Polsce i o najciekawszych odmianach tego owocu. Str. 6.

„BRACTWO SZARYCH MYSZY".
Wśród bibljofilów najwyższem odznaczeniem są dwa dosyć dziwaczne ordery, to jest „Białego kruka" i „Szarej myszy", łączące się z niezwykle ciekawemi bibljofilskiemi tradycjami. Str. 11.

SZUKAMY IDEALNEGO MĘŻA.
Znalezienie właściwego kryterjum „zdatności małżeńskiej" i zalet zapewniających szczęście w małżeństwie ciekawiło oddawna psychologów, dając duże pole do snucia różnych teoryj. Str. 16—17.

RAFAŁ SCHERMANN OPOWIADA...
Str. 19—20.

O PIĄTEJ PLACE VENDÔME...
Przeglądy mód w licznych paryskich salonach krawieckich i nadal pozostają jedną z największych atrakcyj high-life'u przybywającego do Paryża. Str. 25.

Przebój muzyczny „Asa":
DLA CIEBIE.
Boston Tad. Klosia. Str. 22.

Nowele. — Kącik filatelistyczny. — Moda kobieca. — Gimnastyka. — Życie artystyczne. — Dział gospodarstwa domowego. — Humor. — Rozrywki umysłowe. — To co najcelniejsze w literaturze, na scenie i w radjo.



Sytuacja polityczna, tak ostatnio zagmatwana, natrafia raz po raz na podwodne niejako rafy, mogące rozbić i tak już nadwyrężony pokój europejski. W ostatnich dniach cierpliwość Polski i jej sojuszników znów została wystawiona przez Rzeszę na ciężką próbę przez wysunięcie pretensji do Gdańska i „exterytorjalnej autostrady" przez Pomorze. Polska, pamiętając o swej historji i o historji Gdańska i wierna swym wytycznym postępowania, zachowuje pełny spokój, gotowa jednak bronić do ostatka swych słusznych praw. Powyżej fragment starego Gdańska.

Latający hotel





Niezwykły komfort samolotu, a przedewszystkiem zabezpieczenie przed wypadkami, pozwala pasażerom na pełną swobodę ruchów podczas przelotu.



„Latający hotel" posiada niezwykle wygodne „sleepingi", nie różniące się prawie niczem od łóżek w wagonach sypialnych kolei.

Przed wojną niebo było puste. Jeśli przelatywały po niem cienie skrzydeł — były to skrzydła ptaków. Jeśli przetaczał się po krańcach widnokręgu jakiś grzmot — był to łoskot piorunów.

Człowiek, który chciałby rywalizować z ptakami i latać po niebie — traktowany był jako fantasta, czy zuchwalec, porywający się na dzieło, przekraczające zdolności ludzkie, albo jako fanatyk postępu.

Nie znaczy to, żeby przed czterdziestu nawet laty nie próbowano sztuki latania na aparacie, zaopatrzonym w silnik, a więc na prototypie dzisiejszego samolotu. Ale te pierwsze loty przypominały raczej skoki w terenie, niż szybowanie w przestworzach.

Zresztą i później, kiedy Blériot jednym wspaniałym susem przebył kanał La Manche, dzielący Francję od Anglji, bądź też kiedy Pégoud — w przededniu wielkiej wojny — wzbudzał podziw Europy swemi loopingami — lotnictwo uprawiały jednostki, zamiłowani sportowcy, pionierzy podniebnych szlaków.

Nie znano wówczas rajdów zbiorowych, ani nie widziano w lotnictwie nowego gatunku turystyki, ani też rodzaju przyspieszonej, błyskawicznej komunikacji pasażerskiej.

Już wielka wojna przekonała sceptyków, że samolot może z powodzeniem spełniać rolę wywiadowczą. Samoloty skutecznie przygotowywały teren do akcji artylerji. Nie mając zbyt długiego zasięgu lotów — lotnicy operowali na szczupłym stosunkowo odcinku.

Dopiero po wojnie wraz z udoskonaleniem silników i samego płatowca — rozpoczęły się zdumiewające rajdy powietrzne: coraz dalsze i szybsze. Kanał La Manche już podczas wojny przestał być „atrakcją" dla lotników: stał się najzwyklejszą drogą, łączącą kontynent z wyspami brytyjskiemi.

Raz po raz depesze donosiły światu o nowych „wyczynach" lotniczych: o rekordach szybkości i rekordach odległości, a wreszcie wysokości. O okresie przedwojennym w lotnictwie zaczęli nawet laicy myśleć, jako o okresie niemowlęctwa. Patrzyliśmy odtąd na dawne aparaty jako na „przedpotopowe" okazy!

W 18 lat po historycznym przelocie Blériota przez kanał La Manche — Lindbergh przebywa ocean Atlantycki, pokonując przestrzeń Nowy Jork—Paryż w 33 godziny. Po amerykańskim rycerzu powietrza zjawiają

się inni zdobywcy Atlantyku. Dodajmy odrazu, że szlak ten znaczy się ofiarami. Nie odstrasza to jednak lotników. Konstruktorzy udoskonalają maszyny, zwiększając zasięg skrzydeł.

Jedną z efektownych manifestacyj sprawności lotnictwa był lot eskadry wodnopłatowców włoskich z Europy do Ameryki. — Amerykanie odbywają w ciągu tygodnia lot dookoła świata. Jednocześnie padają rekordy szybkości: rekord ten przekracza 600 km/godz.

zaprawy, a w każdym razie zamiłowania do niecodziennych wrażeń...

Następca Willy Posta w locie dookoła świata, Howard Hughes, który obleciał ziemię w niespełna cztery dni, odbywał swój lot rekordowy w warunkach nieporównanie bardziej sprzyjających imprezie, niż jego poprzednicy. Ale rzecz prosta, trudno oczekiwać, by aparaty, przeznaczone do bicia rekordów odznaczały się szczególną dbałością o komfort.

Natomiast o komfort dbają dzisiejsze

Na niebie warczą dziś motory, budząc echa nawet w najbardziej zapadłych okolicach. Ponad spalonemi słońcem pustyniami, nad olbrzymiemi puszczami, nad rozlewiskami mórz i oceanów, wszędzie pomykają cienie samolotów.

Oczywiście — jeszcze i dzisiaj zapuszczanie się „samopas" w tereny, nie pozwalające na lądowanie ani na spokojne wodowanie nie należy do rzeczy bezpiecznych, czego przykładem może być los świetnej lotniczki amerykańskiej, Amelji Earhart,



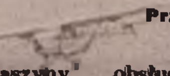
Nastrój wśród pasażerów jest, jak widzimy, jaknajlepszy. Zdjęcia: M. Lorant — Londyn.



Niezwykle wygodne fotele pozwalają jadącym spędzić bez zmęczenia kilka godzin podróży.



Przed odlotem.



Nic dziwnego, że wraz z usprawnieniem aparatów, rośnie ich znaczenie jako środka komunikacji. Wszystkie stolice Europy, i niektóre mniejsze miasta otrzymują komunikację samolotową. Z dnia na dzień coraz bardziej zagęszcza się sieć linij pasażerskich.

Wielka Brytanja może pochlubić się najdłuższemi linjami pasażerskiemi na świecie. Zbliżają one dominja z metropolją. Prowadzą — dosłownie — przez lądy i morza. Wystarczy rzucić okiem na mapę, aby się zorjentować w rozpiętości szlaków powietrznych Anglji.

Z Europy do Afryki Południowej, do Azji, do Australji — oto nazwy kontynentów, przez które przechodzą linje „Imperial Airways". Ostatnio zaś organizuje się komunikację wodnopłatowcami przez Atlantyk do Ameryki Północnej.

Postępy i zdobycze lotnictwa wyrażają się nie tylko w rekordach, lecz również w postaci ulepszeń natury mniej sportowej, choć bezwątpienia mających duże znaczenie dla popularyzacji lotnictwa w społeczeństwach. Mam na myśli starania o zwiększenie wygody i komfortu turystów.

Jakże daleko odbiegliśmy od czasów, gdy posługiwanie się samolotem wchodziło w zakres „wyczynów", wymagających sportowej

maszyny, obsługujące ważniejsze szlaki komunikacyjne. I tutaj, trzeba to przyznać, dokonano niebyłejakich ulepszeń. Pasażera nie ogłusza już łoskot silników, albowiem od hałasu motorów chroni go specjalne obicie kabiny. Wnętrze zaś statku powietrznego zaopatrzone jest w wygodne fotele klubowe. Angielskie linje w swoich samolotach, kursujących na dalekich długodystansowych szlakach — starają się stworzyć dla pasażerów jaknajwygodniejsze warunki jazdy.

która poprostu zaginęła gdzieś nad Pacyfikiem. Ale zasięg linij pasażerskich wydłuża się i zagarnia coraz bardziej odległe, nieprzyjazne dla lotnika, obszary.

Możesz lecieć w obszernej kabinie statku powietrznego, który staje się doprawdy „latającym hotelem". Możesz gwarzyć beztrosko z towarzyszami podróży, posuwając się ze średnią szybkością 350 kilometrów na godzinę. Przy tej szybkości krajobraz, oglądany z ziemi zlałby się w jedną płynną masę, niby barwy na palecie, lecz z wysokości tysiąca czy więcej metrów — nie czujemy pędu, patrzymy spokojnie na szachownicę pól, na lśniące wężyki rzek...

W „latającym hotelu" pasażer może wygodnie odpoczywać i marzyć, może przechylić swój fotel i uczynić zeń rodzaj leżaka. Kuchnia pokładowa zaopatrzona jest w potrawy, mogące zaspokoić najwybredniejsze nawet podniebienia. Jeśli pasażer jest znużony upałem i pragnie chłodzących napojów czy potraw — wystarczy szepnąć słówko przystojnej stewardessie — tylko bowiem takie dobiera się do tej służby, — a natychmiast z „frigidaire'a" pokładowego otrzyma porcję lodów czy zimnego soku. A kiedy nadchodzi godzina obiadu — kabina zamienia się na „dining room". Należy dodać, że menu „latającego hotelu

Dokończenie na str. 11-tej.



Olbrzym pasażerskiej linji lotniczej woduje, przyleciawszy do celu.



ników. Z tej też przyczyny najwłaściwszym terenem uprawy moreli są okolice południowe i południowo-wschodnie Polski. Tam też najliczniej powstały plantacje handlowe moreli n. p. w powiatach naddniestrzańskich. Słynny polski Meran — Zaleszczyki, przedstawiają się dziś jak jedna czarująca kwietna bajka.

Posiadamy również i w innych stronach Polski korzystne warunki, odpowiednie pod prowadzenie plantacyj morelowych, między innemi w Kieleckiem i Opatowskiem na stokach górskich i na wysokich brzegach południowych nad Wisłą jest wiele nieużytków, które przy odpowiedniej uprawie i obsadzeniu ich morelami dałyby zapewne nie mały dochód ludności a krajobrazowi przysporzyły wiele uroku.

Najczęściej hodowane bywają w naszym klimacie morele odmiany: „Zaleszczycka", „Pêche de Nancy", „Luizet".

Morela odmiany „Zaleszczycka", nie jest właściwie... zaleszczycką, bo została ona tam sprowadzona z Bukowiny przez ks. Knichinickiego, proboszcza grecko-katolickiego. — Drzewo to tworzy korony szerokie o silnych i bujnych pędach. Owoc tej odmiany słabo omszony, posiada średnią wielkość i piękną barwę pomarańczowo-złotą, przystrojoną ciemnym gorącym rumieńcem, który czasami pokrywa cały owoc. Morele te nadają się specjalnie do hodowli na południu Polski.

Morela odmiany „Pêche de Nancy" po raz pierwszy została opisana w roku 1755 przez zakonnika francuskiego Nolin'a i Blavet'a w „Essai sur l'agriculture moderne", a potem opis jej został uzupełniony w roku 1877 w piśmie „Dictionnaire de pomologie" przez André Leroy. Owoce tej odmiany są duże, owalnie zaokrąglone. Skórkę mają grubą, omszoną, w kolorze pomarańczowo-żółtym, okrytą od strony słońca rumieńcem i drobnemi centkami. Drzewa tej odmiany doskonale czują się w naszym klimacie.

Odmiana moreli Luizeta — jest pochodzenia francuskiego. Do szkółek Gabrjela Luizeta w Ecully, od którego otrzymała swą nazwę, została wprowadzona w roku 1838. Drzewo to również jak i poprzednie odmiany, rośnie u nas silnie. Owoc wydaje duży owalnie zaokrąglony, o skórce barwy pomarańczowo-złotej, a od strony słońca zarumienionej i pokrytej czerwonemi punkcikami.

Oprócz wymienionych odmian istnieje jeszcze cały szereg innych, które w naszych warunkach klimatycznych przy odpowiedniej pielęgnacji doskonale się hodują, wydając obfity i smaczny owoc.

Morela rośnie najlepiej na glebach gliniasto-piaszczystych, nie gardzi jednak wszystkiemi innemi glebami, nie wyłączając piasków — lecz, jako drzewo należące do dużej rodziny „Prunus", śliw, wymaga w swem podłożu dosyć dużo wilgoci, niezbędnej do utrzymania jej w dobrem zdrowiu.

Owocowanie morel, bywa przy sprzyjającej wiośnie bardzo obfite. Oczywiście dlatego, drzewa te potrzebują dla siebie dużo pożywienia, które dostarcza się im w formie ziemi pożywnej, zasilanej często podczas wzrostu nawozami.

Ze względu na bardzo wczesny okres zakwitania, sadzi się morele na stokach o dużem nachyleniu ku południowi, lub też pomiędzy budynkami, gdzie znajdują ochronę przed zdradliwemi dla nich wiatrami. Sadzone w ogrodze wymagają dobrej osłony z północy i zachodu. Osłonę tą mogą stworzyć świerki lub inne wysokie drzewa ozdobne, użyte, jako żywopłot ochronny.

Morela należy do tych nielicznych drzew, które bardzo mało ulegają napaściom owadów, jak również rzadko poddają się chorobom.

Z. Drozdowska.

KWITNĄ MORELE!

Oczekiwana z radosnem utęsknieniem, jednakowo w pałacach jak i w kurnej chacie pożądana — wiosna, przekroczyła już swą datę oficjalnego kalendarzowego nadejścia. Zanotowały ją już dawno dzienniki, obwieściły wesołym świergotem ptaki, przybyłe z zamorskich krajów — i pierwsze najmilsze kwiatuszki leśne: śnieżyczki, śnieżyce, zawilce, sasanki.

Ale pogoda nie ze wszystkiem i nie zawsze stosuje się do norm naukowej meteorologji. Pochmurna aura i chłody wieczorne trzymają często na uwięzi rwącą się do nowego życia wegetację roślinną.

Miłośnicy przyrody drżą o los tych drzew owocowych, które nie czekając na zieloną suknię liści, okrywają najpierw swe zczerniałe konary i gałęzie bogatą, bukietową ozdobą jasnego — niby puch śnieżny — kwiecia, zwracającego swe wiotkie, aksamitne płatki ku życiodajnemu słońcu.

Czy nie zwarzy ich przedwczesna fala powracających podstępnie przymrozków?

Do drzew o które rok rocznie takie żywić należy obawy należą przedewszystkiem morele — drzewa rodzące jakże smaczny i piękny owoc, jeden z najpierwszych darów szczodrego lata.

Do niedawna utrzymało się u naszej ludności mniemanie, że na uprawę moreli jako drzewa delikatnego, par excellence południowego, nie możemy sobie pozwolić w naszych warunkach klimatycznych. Tak jednak nie jest, morele hodowane w wielkiej ilości na południu Europy również i u nas wytrzymują doskonale zimy, nawet bez okrycia. Roślina ta, będące czemś pośredniem między brzoskwinią a śliwą, wyrasta na drzewka, przypominające budową swej korony i spękaną korą siostrzany gatunek — drzewa brzoskwiniowe.

Ojczyzną moreli według wszelkiego prawdopodobieństwa jest Azja środkowa i wschodnia, stamtąd też w czasach starożytnych przedostały się do południowo-zachodnich krajów Azji — stąd zaś otrzymały ją starożytne ludy Europy — Rzymianie i Grecy. Bardzo późno, bo dopiero w pierwszej połowie XVIII wieku, sprowadzono morele do Ameryki Północnej, gdzie w większej ilości uprawiają je w Kalifornji.

Drzewo to, ze wszystkich drzew owocowych jest najwrażliwsze na przymrozki w czasie kwitnienia. Jakkolwiek więc bardzo obficie zawiązuje kwiaty, jednakże owocowanie bywa często bardzo zawodne i przez to drzewo to zraża do siebie ogrod-

Ostatni wyścig

ERYK WILK

NOWELA

— Czekaj, bratku, już ja cię naucze. Wyścigowiec, arystokrata, psiakrew! Wozu mu się nie chce ciągnąć.

Rozwścieczony parobczak porwał za widły i po chwili gruby trzon rozprysł się na grzbiecie Samuma. Koń jeszcze raz wystrzelił ku górze, zawisł przedniemi kopytami w powietrzu i zakrwawiony runął na kolana w drzazgi połamanych dyszli. Nowe uderzenie twardym prętem zadudniło na żebrach.

Stary Wacek, dawny stangret, wybiegł ze stajni. Był już po pięćdziesiątce, ale lekko jeszcze odepchnął rosłego parobka.

— Gnaty ci połamię, ty lucyperze. Tak konia katować! Do wołów z tobą, jeżeli nie umiesz obchodzić się z wyścigowcem.

— Wielki mi wyścigowiec, kiedy go tu odstawili.

— Jak ja tobie odstawię w pysk, smarkaczu, to go zaraz zamkniesz.

Uwolnił konia z uprzęży i odprowadził do stajni. Osuszył go słomą z potu, obmył rany, zasmarował maścią, a potem założył mu świeżego siana, poklepał po karku i wyszedł.

Oczy konia poszły za nim i zawisły tęskno na jego pochylonych plecach, aż znikł za wrotami.

Samum opuścił głowę. Tak, to wszystko jest niepotrzebne. Ta nieustanna męka płuc, żartych ostrym wyziewem nagromadzonej mierzwy, to upokarzające sławnego derbiste zaprzęganie do wozu z mierzwą, te rany od wideł na grzbiecie i ta coraz silniejsza tęsknota za torem, za oklaskami trybun, za panem. Sam to zawinił. Pan był dla niego dobry, on zaś...

Początkowo nienawidził go. Ukradł mu przecież wolność. Wyrwał go ze stadniny, od towarzyszów, okiełznał kantarem i zaczął rozkazywać. Zrzucał go więc, kopał, kaleczył zębami, aż kiedyś uległ. Łagodności, dobroci i oczom pana, przed któremi zawsze opuszczał swoje. Odezwało się w nim coś, co stale oczekiwało pana, co odbierało smak obrokowi, jeżeli nie nasypał go pan. Poznawał go już zdaleka po głosie, po krokach i wtedy najchętniej zerwałby łańcuch, przykuwający go do koryta. Dla niego też resztą sił minął wtedy tego olbrzymiego siwka i wygrał swój pierwszy, wielki wyścig. Widział potem, jak ludzie ściskali panu ręce i jak się z tego cieszył. Przyszedł potem do stajni, dał mu cukru i długo gładził po szyi. Wpatrzył się wtedy w oczy pana i powiedział mu, że go nigdy nie zawiedzie, że zawsze da z siebie wszystko i wygra. Pan zrozumiał go i uwierzył. Musiał uwierzyć. Przecież i ludzie powiedzą sobie oczyma nieraz więcej, niż słowami.

Dotrzymał obietnicy. Wygrywał wszędzie. Był szybszy od wszystkich koni. Raz jednak o mało nie przegrał. W płucach bolało, przed oczyma robiło się ciemno, a nogi zaczęły się uginać i stały się dziwnie ciężkie. Zostawał coraz bardziej z tyłu. Ale gdy wyszedł na prostą, gdy ujrzał trybuny i pomyślał, że tam czeka pan, wtedy zerwał się, zapomniał o bólu, o ciężarze dżokeja i pognał, samotny po chwili i niedościgły. A potem ludzie biegli za nim, obrzucali go kwiatami, trybuny huczały od oklasków, orkiestra grała, pan pocałował go przy wszystkich, a potem...

Koń zatrząsł się, jakby w dreszczach i jeszcze bardziej opuścił głowę. Coś, jakby ból, czy wstyd odmalowały się w oczach.

...potem... kiedyś przegrał. Klacz, którą wymijał na zakręcie, kopnęła go w kolano. Zakulał, osłabł i za to... jeszcze dżokej zbił go w stajni. Pręgi na szyji i nogach zginęły przez noc, ale gdzieś paliło jeszcze i żarło. Ukarano go przecież niewinnie. Zemścił się więc na dżokeju w następnym wyścigu.

Prowadził od startu. Nagle, tuż przed ostatnią przeszkodą zarył się kopytami w ziemię i w obliczu trybun dżokej wyleciał z siodła, jak z procy. Nadbiegli ludzie, przyjechał samochód, a potem przyszedł pan. Spojrzał na niego dziwnie inaczej, niż zwykle, powiedział do trenera „skończył się, trzeba go wycofać" i odszedł.

Od tego dnia nie ujrzał już toru. Skończył się.

Pan ma innego ulubieńca, trybuny oklaskują inne konie, on zaś stoi tu w folwarcznej stajni, zużyty, niepotrzebny, zapomniany. Bo to przecież tak łatwo zapomnieć o czemś, co się skończyło.

Tak to nie było potrzebne. Mógł był raczej... tak, kiedy... uderzenia dżokeja paliły tak mocno, tak długo, że zapomniał o panu i o tem, co mu kiedyś oczyma powiedział.

Chciałby teraz wrócić na tor i ścigać się dla pana, chociażby tylko jeden raz. Dałby z siebie wszystko, by wygrać i pokazać, że nie skończył się jeszcze.

Drgnął i nastawił uszy. Usłyszał głos pana. Nie, zdawało się tylko. To ten stary, dobry Wacek rozmawia z kimś za wrotami.

Trudno, pan nie przyjdzie. Nie potrzebuje go. I Samum nigdy już nie ujrzy toru i nie...

Odwrócił głowę ku płotowi, za którym przy czyściutkich korytach kaflowych stało kilka smukłych, pięknemi siatkami okrytych koni. Straszliwa nienawiść zapłonęła w jego oczach. Tak, nie pokaże tym pyszałkom, kim jest. Odwracają się od niego pogardliwie, jakby był starą, obitą hetką dorożkarską. I za to jeszcze musi wywozić mierzwę po nich.

O, gdyby mógł zmierzyć się z nimi na torze. Pokazałby im, kto i kim mógłby pogardzać.

W tej chwili zaskrzypiały wrota i... Samum zarżał, aż się mury zatrzęsły. Do stajni wszedł pan z kilkoma oficerami. Poklepał go przelotnie i zatrzymał się przy tamtych koniach.

— Wysłałem je tu na kilka tygodni dla zmiany powietrza. Łąka, las, jezioro — tego nie zastąpią im nasze miejskie, najbardziej komfortowe stajnie. Kosztowały mnie dużo, przyniosły mi jednak już dwa razy więcej. Czytaliście napewno o ich ostatnich sukcesach w Berlinie i Budapeszcie. Ten pierwszy, to Olimpijczyk, dalej Burza, potem Hetman, Wotan i najlepsza z wszystkich... Wacek, gdzie Walkirja?

— Jaśnie pani kazała ją sobie osiodłać i wyjechała na spacer.

— Masz więc innego? Jest nas przecież pięciu.

— Jest Samum, proszę jaśnie wielemożnego pana.

— E, co tam, Samum. Za stary... nie dotrzyma tamtym kroku. Niema innego?

— Lata swoje ma, to prawda, ale gdyby na to przyszło, wierzyłbym mu więcej, niż tym wszystkim Olimpijczykom i Burzom.

Z za płotu Samum tęsknem spojrzeniem patrzy na pana. Czekał na niego tak długo i tyle chciałby mu powiedzieć, a teraz... Co to? Pan machnął ręką... Wacek niesie siodło... Koń tańczy przy korycie, nie może doczekać się uwolnienia od łańcucha, a potem z radosnym błyskiem w oczach i z wygiętą szyją dumnie kłusuje pod panem z podwórza.

Pięć rumaków galopuje po rżysku. Idą lekko i jak ptaki przelatują nad rowami. Jeden tylko męczy się i potyka niekiedy. Samum. Wolniej od tamtych przechodzi nad przeszkodami i traci zawsze kilka metrów. Zrywa się jednak natychmiast i po chwili idzie znowu łeb w łeb z towarzyszami.

Jeźdźcy zwalniają. Stępem wspinają się konie na pagórek i wchodzą na drogę, oddzielającą pola od olbrzymiego pasma skoszonych łąk. Nagle zarżały i nastawiły uszy.

Jeździec jakiś wypadł z za zakrętu. — Osłaniał go gęsty tuman kurzu. Koń pędził, jak strzała. Droga dudniła pod nim głucho i pstrzyła się płatami gubionej piany. Widać było, że wyłamał się z pod władzy jeźdźca. Walił bowiem, jak burza rozhukana, której nic już nie zdoła powstrzymać. Nagle, jakby spłoszony rzucił się w bok, na łąki i pognał ku moczarom, czerniącym się daleko, w dole ponurą plamą. Chmura kurzu rozwiała się i grymas przerażenia wykrzywił twarze obserwujących jeźdźców. Gnający na złamanie karku siwek pstrzył się żółtemi zwojami szer-

KRNĄBRNY PANTOFELEK
Artystka filmowa Irena v. Meyendorff. — *Fot. Polski Tobis.*

szeni. Z oczu, ledwo widocznych między szparkami opuchłych powiek, wyciekała miazga ropy, łez i krwi. Na grzbiecie zaś z palcami konwulsyjnie wbitemi w kark leżała blada, zrezygnowana kobieta.

— Na Boga! To moja żona — rozległ się w tej chwili straszliwy krzyk i dwa ostrza ostróg worały się w brzuch Samuma.

Cztery nigdzie niepokonane sławy torów europejskich ruszyły w pościg za piątą, największą z nich wszystkich. Ztyłu zaś, zgubiony o kilka metrów gna stary Samum. Pochylony nad nim, śmiertelnie blady człowiek daremnie rozkrwawia mu ostrogami boki. Koń wychodzi z siebie, jęczy z bólu i podrywa się, ale to są tylko chwile. Tak, kiedyś, dawniej miałby szanse, dziś jednak... Trudno, skończył się, jak wszystko na świecie kończy się kiedyś. Ale tamta czwórka musi to zrobić, choćby nawet życie z płuc wypluć miała.

Rozbestwiona Walkirja poczuła pościg i po chwili odstęp zwiększył się o kilka metrów. Nie od parady przecież jest pierwszą w Europie derbistką.

Daleko z tyłu galopuje Samum i przygląda się walce tamtych. Wyścigowi, w którym pierwszy raz w życiu nie ma głosu. Nagle... Szum rozlega się w uszach... Oklaski... trybuny huczą... orkiestra gra.... tłum obrzucą go kwiatami... Jest znowu na torze... w wyścigu... w tym wielkim wyścigu, za którym tęsknił tak długo. A teraz.... idzie z tyłu, jako ostatni, pobity przez tych pyszałków.

Zerwał się, wyciągnął, jak struna i pognał za nimi. Zaciekły i niezawodny, jak dawniej na finiszach przed trybunami. W stawach łamie, na płucach osiada war, ale nic to. Musi wygrać.

Dognał Wotana, wziął Burzę... Hetman broni się jeszcze... słabo, coraz słabiej... nie wytrzymuje tempa... zostaje o metr... o dwa... a teraz tamten, najszybszy z nich. Jeszcze cztery długości... trzy... piana na nozdrzach różowi się krwią... jeszcze kilka skoków... tak... a teraz ostatnim wysiłkiem i finisz, jak dawniej przed trybunami.

Zwalnia. Wystarczy. Wygrał i... nie ma więcej sił. W tej chwili ciepło z ust czyichś osiadło na szyji i szept zadrżał błaganiem w uszach.

— Saamuum....

Iskry rozbiegły się po ciele rumaka. Pan odezwał się do niego. Zrozumiał go i usłuchał, jak dawniej, jak zawsze.

Do błot niedaleko już. Jeszcze kilkaset metrów i ruzhukana Walkirja, waląca jak lawina niepowstrzymana, runie w zachłanną czeluść. Samum ma do niej jeszcze tylko pięćdziesiąt metrów, gna jednak już resztką sił. Krew skrzepła na zaciśniętych zębach, nadwyrężone mięśnie rwą się, wrzący ołów rozlewa się i tężeje w nogach.

Potknął się i runął na przednie kolana, okrywając się chmurą pary. To już koniec. Nie może dalej. A tej reszty sił, którą ma jeszcze, potrzeba mu przecież do życia. Tej nie da nikomu.

— Saamuum — zadźwięczało znowu, ciszej i jeszcze błagalniej.

Dźwignął się, zatrząsł i runął ku błotom. Resztą sił, potrzebnych do życia.

Oficerowie zwolnili. Nie uratują żony przyjaciela. Konie dały z siebie wszystko, a teraz chwieją się z wyczerpania. Jeden tylko walczy jeszcze. Ten stary, wycofany Samum. Ale i on...

Potknął się... tak, koniec. Nie, zrywa się... Boże, co za koń... dogania Walkirję.... jeszcze pięć długości... cztery... trzy... zachwiał się... runie za chwi... nie, idzie dalej... moczary tuż...

Walkirja oderwała się od ziemi do rozpaczliwego skoku i w tej chwili ramię silne zerwało nieszczęśliwą kobietę z jej grzbietu.

Samum nie zawiódł, a teraz zaryty kopytami w grząskim gruncie leży napół przytomny i dyszy straszliwie. Nie próbuje nawet wstać. Wydał przecież tę resztę sił, potrzebnych do życia.

Z zakrwawionych nozdrzy charczy skarga zerwanych płuc, ciszej już i coraz wolniej. Boki falują gwałtownie, jak ściany olbrzymiego miecha kowalskiego, poruszanego ma szyną, którą ktoś zapomniał zatrzymać. Po chwili rozdęły się potwornie, a potem opadły. Maszyna stanęła przeforsowana.

W stygnących oczach konia zarysował się cień, rzucony przez kogoś, będącego już niedaleko.

Nagle uniósł głowę, wysoko i dumnie, jak kiedyś, dawniej... Wraca z toru. Szum rozbrzmiewa w uszach. Trybuny huczą... orkiestra gra... tłum obsypuje go kwiatami za to zwycięstwo największe z wszystkich i ostatnie już.

Cztery rumaki zdyszane zatrzymały się przy nim i pochyliły głowy pierwszy raz w życiu.

Próbuje dźwignąć się... jest przecież zwycięzcą... pobił największe sławy torów... tak, ale... to było ostatni raz i za wielką cenę... Wpatruje się więc w oczy pana, długo, bo to ostatni już raz. Czekał na nie tyle czasu, chciał mu tyle powiedzieć, a teraz... teraz nie potrzebuje już mówić. Powiedział wszystko przed chwilą, w tej wielkiej, ostatniej gonitwie.

Ciche rżenie zadrgało w krtani, zahaczyło się gdzieś i urwało...

Skończył się.

Na zawsze i teraz dopiero.

NIEMOWA

EUGENJUSZ SZERMENTOWSKI

Tę smutną nowinę zakomunikował mi Eustachy.

— Czy wiesz, że Zymek oniemiał?..

Myślałem, że mówi w przenośni.

— Nie, bracie — rzekł — dosłownie: Zymek ogłuchoniemiał czy jak się tam mówi.

Co tchu pobiegłem na Przeskok, gdzie mieszkał mój najlepszy przyjaciel, druh lat dziecięcych i męskich, Zymek.

Drzwi otworzyła mi pani Kuka, żona Zymkowa, cała we łzach i trwodze.

— Jakże to się stało, droga pani?...

— Więc pan już wie... — buczała — sama nie mogę pojąć. Wczoraj Zymcio poszedł sobie zwyczajnie do dentystki. Miała mu rwać ząb mądrości. Wrócił i — ani słowa. Na migi tylko pokazuje, że ogłuchł i oniemiał ze szczętem. Mówię do niego, jak do człowieka: „Zymku, Zymciu, opamiętaj się, to być nie może, chrząknij, może ci ten ząb utkwił gdzie w przełyku". Walę go w plecy — nic. Potrząsam nim — nic. Zaczynam płakać, a on wciąż milczy jak grób.

W tej samej chwili z gabinetu swego wyszedł do nas Zymek w szlafroku, z twarzą trupio bladą (tak mi się przynajmniej zdawało), posępny, jakby za własnym szedł katafalkiem. Uścisnęliśmy sobie dłoń po męsku, milcząco i skrycie otarłem łzę. Z piersi Zymkowej wydarło się ciche westchnienie.

Usiedliśmy wszyscy troje w saloniku. Pani Kuka schowała chusteczkę, poprawiła rzęsy i ciągnęła:

— Niech pan tylko pomyśli, co za pech. W jego wieku... Żeby przynajmniej od urodzenia, to jeszcze rozumiem... I akurat wczoraj musiało mu się to przytrafić... Obiecał, że pójdziemy dziś po mój nowy kapelusz... Przypominam mu delikatnie. A on nic. Rozkłada ręce i milczy. Zupełnie, jakby nie tylko ogłuchł i oniemiał, ale i pamięć stracił... Tyle przez niego użyłam — pani Kuka znowu zaczęła płakać — przez tego nicponia, bęcwała. Upijał się jak zwierzę, zdradzał mnie na prawo i lewo, o dom nic a nic nie dbał... Nie wytykałam mu tego, żeby mu nie robić przykrości, ale teraz, kiedy nic nie słyszy, muszę sobie ulżyć... O-o-o, niech pan spojrzy, jaką to ma minkę niewinną. Ale to był kat — nie mąż...

Zymek, istotnie, siedział z miną najniewinniejszą, jak by to nie o nim była mowa.

Pani Kuka zerwała się nagle.

Ach, muszę pana przeprosić. Umówiłam się z krawcową.

Wyszła.

Zostałem jeszcze, żeby druhowi okazać współczucie. „Biedny Zymciu, nieboraku mój" — zawołałem w uniesieniu, rzucając mu się na szyję. Nagle, tuż nad uchem, posłyszałem ciche „psst"... Obejrzałem się. Nikogo więcej w pokoju nie było... Ki diabeł psyka, myślę sobie. A Zymek nachylił się niżej i szepnął:

— Pssst, ja wcale nie ogłuchłem.

— Jak to — mówię — nie ogłuchłeś. Co to za głupie gadanie, kiedy Eustachy mówił, że ogłuchłeś. I żona twoja mówi, że ogłuchłeś. A ty mi tu powiadasz...

— Czekaj — przerwał mi. — Tybyś też ogłuchł. Siadaj, wszystko ci opowiem. Pojechałem wczoraj, uważasz, do dentystki. Wyrwała mi ząb. Dziąsło krwawiło jak cholera. Siadam, uważasz, do autobusu, jadę za interesami. Konduktorowi daję pieniądze i na migi pokazuję, ile ma wydać reszty, bo nie mogłem otworzyć ust z powodu tej krwi, uważasz. Konduktor wydał mi resztę. Jedziemy. Na przystanku wsiada Eustachy i, uważasz, z miejsca atakuje mnie, żebym wykupił ten głupi weksel, co to nie wiem, czy pamiętasz... Pokazuję na migi, że nie mogę mówić. Zaczął się awanturować, że to świństwo, że strugam z niego warjata i tak dalej. Konduktor się wmieszał do rozmowy i powiada: „Czemu to pan, powiada, dręczy tego pana? Nie widzi pan, że niemowa". Zaraz też zareagowało kilku pasażerów. Zaczęli wołać: „Co to za metody... nawet kaleki dziś nie uszanują... co to za gagatek!" Eustachy rzucał się, pienił, wściekał. Wkońcu wyrzucili go z autobusu. Mnie dwóch skautów pomogło wysiąść na moim przystanku, jakbym nie tylko był głuchy i niemy, ale ślepy i chromy. Wracam sobie do domu i myślę, że to wcale pyszna rzecz takie kalectwo... Przychodzi dzisiaj, uważasz, jakiś facet z urzędu w sprawie zeznań o majątku i dochodzie. Żona wychodzi do niego i tłumaczy, że mąż jest głuchoniemy. Facet ukłonił się grzecznie i poszedł sobie. W parę godzin potem zwala mi się na łeb komornik. Patrzy, a ja milczę. Pyta służącej, ta powiada, że stało się nieszczęście, pan ogłuchł i oniemiał. Rozczulił się, zamknął teczkę, „przyjdę innym razem" powiedział. Żona mnie męczy o jakiś kapelusz. Skąd ja wezmę na ten kapelusz... O niczem teraz nie wiem. Mam przynajmniej święty spokój.

EWENEMENT HIGH-LIFE'U: ROYAL COURTS

Do najważniejszych wydarzeń towarzyskich w Londynie należy bezsprzecznie wspaniałe przyjęcie we dworze królewskim, t. zw. „Courts", które odbywają się zazwyczaj w maju i czerwcu każdego roku. Zależnie od okoliczności i rozlicznych funkcyj oficjalnych, jakie wypełniają program Ich Królewskich Mości, przyjęcia takie mają miejsce 2—3, a nawet 5 razy w ciągu „sezonu". Charakter tych „courts" jest ogromnie uroczysty i daje możność wszystkim „peeressom", księżnom, maharanim i amerykańskim miljonerkom do wzajemnego olśniewania się przepychem tualet, wspaniałością klejnotów i dystynkcją manier. Głównym zaś celem owych przyjęć jest „wprowadzenie w świat" córek, kuzynek, przyjaciółek itd. dam z arystokracji, które już oddawna, dzięki swej pozycji towarzyskiej, do sfer dworskich należą. W Anglji bowiem tylko te panie liczą się „towarzysko", które, zostawszy przedstawione u dworu, mają już raz na zawsze otwarte dla siebie podwoje pałacu Buckinghamskiego i które od tej pory biorą udział we wszystkich oficjalnych przyjęciach i zebraniach towarzyskich dworu królewskiego, a więc: w dorocznych „garden Parties", w pałacu Buckingham, w wyścigach w Ascot, w regatach w Cowes itd., zajmując miejsce nie wśród „plebsu" na ogólnych trybunach, ale w t. zw. „Royal Enclosure", t. zn. na trybunach specjalnych, zarezerwowanych wyłącznie dla rodziny królewskiej oraz jej gości. Nie trzeba dodawać, że o zaszczyt otrzymania zaproszenia na trybunę królewską ubiegają się nie tylko arystokratki angielskie, ale z całego świata, nie wyłączając amerykańskich miljonerek. Osoby, które już raz zostały przyjęte na dworze królewskim, wchodzą automatycznie w skład t. zw. „sfer dworskich" i od tej chwili głównym celem ich życia i niejako treścią ich istnienia będzie zajmowanie się najdrobniejszymi faktami czy wydarzeniami w rodzinie królewskiej. Na herbatkach, obiadach, czy „lunch'ach" nie będzie się o niczem innem mówiło, jak tylko o ostatniej tualecie królowej, w jakiej wystąpiła na galowem przedstawieniu, o niezwykłej inteligencji ulubionego pieska ks. Elżbiety, lub o najnowszym kapeluszu ks. Kentu, zaś urodzenie się ósmego dziecka najodleglejszej kuzynki króla lub śmierć najdalszego wuja, szwagra królowej bardziej sfery te emocjonuje, niż np. rozbiór Czechosłowacji, czy wojna z Niemcami. Nic też dziwnego, że wobec takiego nastawienia osób z „society" angielskiej, przyjęcia u dworu nabierają niemal mistycznego znaczenia, i wysokie ceremonje i przepisy z ewenementem tym połączone, przyjmowane są z takiem samem namaszczeniem, jak gdyby zostały objawione conajmniej na Górze Sinai.

Tegoroczne „courts" odbędą się w pałacu Buckingham w dniach 12 i 13 lipca, a więc bezpośrednio po powrocie angielskiej pary królewskiej z ich podróży do Kanady. W marcu br. odbyły się już trzy takie przyjęcia, a to w dniach 9, 15 i 16. Pozatem w początkach listopada odbędzie się jeszcze jedno dodatkowe przyjęcie, t. zw. „Evening Presentation" (przedstawienie wieczorne), w czasie którego przedstawione zostaną Ich Król. Mościom wyłącznie młode mężatki, a nie panny, jak na poprzednich „courts".

Panie, pragnące wprowadzić na dwór królewski swoje córki, krewne, czy znajome, muszą złożyć Lordowi Szambelanowi odpowiednie petycje w dniu 1 stycznia, przyczem muszą załączyć dokładne curriculum vitae osoby, mającej być przedstawioną. Regulamin ten obowiązuje wyłącznie poddane angielskie, przez co rozumie się także wszystkie Angielki, urodzone i zamieszkałe w obrębie całego Imperjum Brytyjskiego, a nie tylko wyłącznie w samej Anglji. Wobec ogromnie ścisłego kontaktu dominjów angielskich z krajem macierzystym i wobec ogromnej miłości, jaką rodzina królewska cieszy się u swoich najdalszych nawet poddanych, nic dziwnego, że oczy całego Imperjum śledzą z największem zainteresowaniem wszystko, co się w metropolji dzieje i kiedy nadchodzi okres przyjęć u dworu, statki angielskie zwożą z całego Imperjum młode „ladies" i „misses" pragnące dostąpić zaszczytu dygnięcia przed królem i królową i zdarza się często, że nawet zupełnie zubożałe angielskie rodziny szlacheckie, mieszkające gdzieś na fermach w Australji, czy w Nairobi, sprzedadzą ostatni kawałek gruntu czy nawet domek, byle tylko zapłacić koszta podróży, hotelu, no i odpowiedniego „ekwipunku", a zato już raz na zawsze móc się poszczycić przynależnością do „sfer dworskich".



Debiutantka, mająca być przedstawiona Ich Królewskim Mościom, nosi na głowie welon i trzy pióra strusie.

Lord Szambelan, otrzymawszy więc w dniu 1 stycznia setki takich petycyj o „prezentacje" niemało ma roboty, zanim wszystkie przeczyta i rozważy, które można zatwierdzić, a które odrzucić. Jest bowiem rzeczą jasną, że nie wszystkie petycje mogą zostać — z tych czy innych powodów — zatwierdzone. Cudzoziemki, pragnące zostać przyjęte u dworu, muszą w tym samym terminie złożyć swoje petycje ambasadorowi, względnie posłowi pełnomocnemu danego państwa, który dopiero po skrupulatnem zbadaniu curriculum vitae danej petentki, może ze swej strony złożyć w kancelarji Lorda Szambelana to podanie z włączonym listem polecającym daną osobę. Jest to sprawa niezmiernie delikatna, ambasador bowiem wprowadzając na dwór swoją rodaczkę, bierze za nią pełną odpowiedzialność i dlatego musi zachować ogromną ostrożność, by nie polecić kogoś niegodnego tego zaszczytu. Samej prezentacji „debiutantki" w sali tronowej dokonuje wszakże nie ambasador, lecz jego małżonka.

Kiedy młoda „lady" otrzyma wreszcie z kancelarji Lorda Szambelana zaproszenie a raczej „rozkaz" przybycia na przyjęcie dworskie, z dokładnem podaniem daty, pierwszym jej obowiązkiem będzie udać się do Miss Vacani, dyplomowanej sławnej nauczycielki dworskich ukłonów, u której przez szereg tygodni ćwiczyć się będzie w niezmiernie trudnej sztuce „plongeon'u", tj. przepisowego ukłonu dworskiego, polegającego na przyklęknięciu na jedno kolano przy jednoczesnem wyprostowaniu biustu i szyi. Następnie udaje się do kancelarji Lorda Szambelana, gdzie otrzymuje szczegółowe przepisy, dotyczące stroju, w jakim ma wystąpić na owej uroczystości, a regulamin pod tym względem jest ogromnie surowy.

Przepisowy strój dworski bowiem składa się z sukni wieczorowej — niezbyt głęboko wyciętej, nie obnażającej zbytnio pleców, z trenu, o którego długości decyduje pozycja towarzyska danej pani, oraz to, czy jest panną, czy mężatką, wreszcie, czy jest ona „debjutantką", czy też bywała dawniej na dworze. Tren taki zwisa zazwyczaj jako luźny płaszcz od ramion, rzadziej natomiast tworzy całość z suknią. Na głowie oprócz djademu musi mieć przypięte trzy białe strusie pióra oraz biały welon tiulowy, opadający nieco poniżej pleców. Moda owych „trzech piór" została po raz pierwszy wprowadzona za czasów królowej Wiktorji, która chciała w ten sposób popierać hodowlę strusiów w południowej Afryce. Wyspecjalizowani fryzjerzy upinają te pióra w zgodny z etykietą sposób, umocowując je tak, by się — broń Boże — nie chwiały w czasie składania ukłonu. Długie białe, 10 cm powyżej łokcia sięgające, rękawiczki oraz bukiet względnie wachlarz ze strusich piór w kolorze sukni, najdokładniej dobrany, uzupełniają całość. Jedynie pod względem koloru sukni panuje większa swoboda, jednak czarny kolor jest zakazany, biały natomiast najchętniej jest widziany, gdyż odbija on najlepiej od szkarłatnych mundurów gwardzistów, oraz od złotych szamerunków mundurów dyplomatów i dostojników dworskich. Co do klejnotów, to rzecz jasna, że wszelka sztuczna biżuterja jest nieodpowiednia, z wyjątkiem sztucznie hodowanych pereł, które mało co się różnią od prawdziwych, a są znacznie tańsze, należy przecież pamiętać, że nie wszystkie panie, bywające u dworu, mogą się poszczycić historycznymi klejnotami rodzinnymi, zaś sztucznie hodowane perły dostępne są nawet dla najmniej zamożnych osób.

Co się tyczy makijażu, to w obecnych czasach wobec tego, że nawet najcnotliwsze i najwyżej postawione panie dziś „upiększają się" bez wahania, wprowadzono do „regulaminu przyjęć" dodatkowe przepisy, dotyczące makijowania. Idzie tylko o to, żeby makijaż robiony był dyskretnie, dlatego damy wybierające się na te „courts" muszą upiększanie swoje powierzyć fachowym rękom zawodowych „beauty experts", którzy sami najlepiej wiedzą, jak sobie poradzić z przepisami dworskimi. „Debjutantka" wie doskonale, że przez krótką chwilę oczy wszystkich obecnych zatrzymają się na jej osobie, że wobec tego musi za wszelką cenę tego dnia wyglądać jak bóstwo! Wszak od wrażenia, jakie wywrze w dniu przedstawienia u dworu zależeć będzie przyszłe jej powodzenie towarzyskie — a może nawet ka-

rjera! Przedstawieniem u dworu bowiem rozpoczynają młode „ladies" swoje wejście w świat, od tej chwili zaczynają się dla nich bale i rauty, garden-parties i dancingi, a że konstytucja angielska nie zabrania członkom domu panującego poślubienia nawet kobiety z gminu, t. zw. „commoner", przeto każda z młodych debjutantek, spiesząc na „court", żywi w sercu potajemną nadzieję, że może olśni i oczaruje któregoś z książąt krwi i koronę szlachecką czy hrabiowską wymieni wkrótce na królewską! Że zaś marzenia te czasem się spełniają, widzimy najlepiej na osobach obecnej królowej Elżbiety, oraz jej szwagierki, ks. Gloucester: królowa bowiem jest z domu hrabianką szkocką, a ks. Gloucester jest córką księcia wprawdzie, ale nie należącego do rodzimy panującej. Cudzoziemki oczywiście tych szans nie mają, bo konsytucja angielska mówi wyraźnie tylko o „poddanych J. K. Mości" — wyklucza natomiast zupełnie obywatelki innych państw.

Ceremonjał dworski oraz etykieta obowiązująca na takich przyjęciach należy chyba do najbardziej surowych, skomplikowanych przepisów. Dlatego też debjutantki, oprócz lekcyj „plongeon'u" muszą brać dodatkowe lekcje, t. zw. „cours de maintien", w czasie których uczą się, jak należy ceremonjalnie chodzić, siedzieć, ruszać się, witać ze znajomymi itd., a przedewszystkiem, w jaki sposób poradzić sobie z trenem, aby się nie potknąć, lub co gorsza — nie przewrócić.

Przyjęcie dworskie zaczyna się zwykle punktualnie o godz. 9.30 wieczór, t. zn. o tej godzinie wkracza do sali tronowej orszak królewski, ale goście zaczynają zbierać się i zajmować swoje wyznaczone miejsca już od godziny 8-ej. Ostatni wchodzą na salę członkowie korpusu dyplomatycznego, oraz osoby najbliżej dworu stojące, czyli mające t. zw. „eutrée". Debjutantki zaś w towarzystwie pań, mający je przedstawić, czekają w dużym salonie po lewej stronie sali tronowej.

Kiedy już wszyscy goście się zebrali, z uderzeniem godziny 9.30 Lord Szambelan udaje się do saloniku, znajdującego się po prawej stronie, w którym przebywają Ich Król. Mościę i zapytuje, czy raczą udać się do sali tronowej, przyjąć debjutantki. Po chwili zaś otwierają się na oścież złocone odrzwia, wiodące z saloniku do sali tronowej i orszak królewski wkracza uroczyście na salę, poprzedzony dostojnikami dworskimi we wspaniałych strojach, którzy idą tyłem. Wszyscy obecni powstają z miejsc, bębny warczą, a orkiestra gra hymn państwowy: „God Save the King". Po odegraniu hymnu, król i królowa zajmują miejsce przed tronami, za nimi zaś ustawiają się wszyscy członkowie dworu królewskiego oraz świta króla i królowej. Panie, należące do korpusu dyplomatycznego, pierwsze składają ukłon przed parą monarszą, po nich przychodzą ambasadorowie, posłowie pełnomocni, oraz szefowie misyj zagranicznych, wszyscy w galowych mundurach, z orderami i „pierogami". Po skończonej ceremonji król i królowa zasiadają na tronie, a za ich przykładem idą panie z korpusu dyplomatycznego i książęne krwi, panowie natomiast przez cały ten czas stoją. Wszyscy ministrowie, dostojnicy dworscy oraz najwyżsi przedstowiciele armji i marynarki grupują się dookoła Król. Mości.

Teraz dopiero zaczyna się „prezentacja debjutantek". Z salonu na lewo wychodzą długiemi szeregami w towarzystwie swoich „presentees", sztywne i uroczyste, zaś lokaje, w strojach z XVIII stulecia rozkładają za niemi treny, aby pięknie sunęły po błyszczących jak lustro parkietach. U wejścia do sali tronowej, pani, mająca przedstawić debjutantkę, podaje dwa bilety wizytowe (swój i swojej pupilki) dygnitarzowi dworskiemu, który z kolei podaje je Lordowi Szambelanowi, stojącemu tuż obok króla, a kiedy obie panie stanęły już przed tronem, Lord Szambelan wywołuje nazwisko np.: „Lady Mary Gilbert", a wtedy starsza pani składa „plongeon" przed królem, w następnej chwili zaś Lord Szambelan wywołuje nazwisko debjutantki „mająca być przedstawiona Miss Anne Parker", a wówczas obie panie składają dalszy głęboki ukłon przed królową, która zazwyczaj odpowiada czarującym uśmiechem.


Fragment dziedzińca królewskiego pałacu, widziany od ulicy.


Powyżej: Podczas zmiany warty na dziedzińcu pałacu Buckingham.

Pary posuwają się wolno, jedna za drugą, dygając uroczyście przed parą królewską, a przechodząc obok dalszych członków rodziny królewskiej, zwracają się lekko w ich stronę. Te panie, które mają prawo zostać w sali tronowej, udają się na wyznaczone im miejsca, inne zaś przechodzą do bocznych sal, gdzie, stojąc, czekają aż ceremonja się skończy.

Kiedy ostatnia debjutantka złożyła wreszcie swój ukłon, odzywa się warkot bębnów, para królewska wstaje z tronu, król podaje królowej rękę i oboje kłaniają się zebranym. Przechodząc zaś obok korpusu dyplomatycznego, kłaniają się po raz drugi. I znów, poprzedzany przez dostojników dworskich, idących tyłem, orszak królewski opuszcza salę tronową, zaś goście udają się do wspaniale udekorowanej kwiatami i kandelabrami sali jadalnej, gdzie w międzyczasie podano już kolację. Wreszcie, około północy goście powoli zaczynają opuszczać pałac. Pustoszeją salony i galerje, i gasną światła.

„Przedstawienie u dworu" się skończyło, ale debjutantki chcąc przecież utrwalić niejako wspomnienie tej feerji, jaką było dla nich to wydarzenie. Na drugi dzień więc, przywdziawszy ponownie „dworski strój", z piórami, bukietem i welonem, jadą do fotografa nadwornego, a w tydzień później wszystkie ilustrowane pisma angielskie, a przedewszystkiem t. zw. „magazyny kobiece", reprodukują fotografje najmłodszych przedstawicielek „sfer dworskich", które widząc swoje podobizny umieszczone w pismach, przeżywają ponownie swój pierwszy wielki „triumf towarzyski" (social success), zaś na kominku, w dużym salonie, obok fotografij babek, ciotek i kuzynek, staje w ciężkich srebrnych ramach nowa fotografja Lady Alicji Anny czy Gwendoliny „in presentation dress" (w toalecie dworskiej) patrzącej promiennym wzrokiem w przyszłość, od które zdaje się oczekiwać tylko szczęścia i radości... **Helena Myslakowska.**

Od lewej: Lekcja ukłonu przed „występem" na królewskim dworze. — Królewski pałac Buckingham, w którym odbywają się „courts".

STRAŻ NAD LONDYNEM
Balony pełnią służbę przeciwlotniczą



Nasz Konkurs
NA NAJPIĘKNIEJ ZASTAWIONY STÓŁ WIELKANOCNY



„Moje skromne święcone" — zdjęcie p. Irminy Wawrzynkowskiej z Warszawy.



Stół wielkanocny p. S. K. z Torunia.



Święcone p. Ludwiki Magierowskiej z Krosna.



Stół wielkanocny w domu p. Katarzyny Albinowej w Szubinie.

Zamieszczamy dzisiaj dalszy ciąg nadesłanych do konkursu zdjęć stołów wielkanocnych. Wśród nich zastanowi każdego skromna zastawa najedną osobę; obok talerzy bilet... nie bilet, lecz kwit na wpłaconą Pożyczkę Obrony Przeciwlotniczej.

Czy może być wymowniejszy dowód nastrojów tegorocznej Wielkanocy?

Czy może być piękniejszy przykład wyrzeczenia się wystawnego święconego na rzecz najświętszego wtej chwili obowiązku, jakim jest obrona granic państwa?

Wiele było takich domów, które zamiast święconego, składały ofiary na Pożyczkę Obrony Przeciwlotniczej. Piszą nam o tem Czytelniczki, które w ubiegłym roku brały udział w konkursie, a nie stając do niego, nadesłały listy z wyjaśnieniami tej absencji.

Jest to dowodem sympatji, jaką cieszy się nasz konkurs w kołach Czytelniczek Asa. Jesteśmy przekonani, iż kiedy w spokojniejszych — da Bóg — czasach przyszłej Wielkanocy konkurs nasz zostanie znowu ogłoszony, uczestniczek będzie znacznie więcej.

„BRACTWO SZARYCH MYSZY"

Zbieracz ksiąg, ich strażnik, zawodowy czy prywatny bibljotekarz, zarazem miłośnik-bibljofil, „wykiełkował", formując pewne swoiste cechy, wśród babilońskich bibljotek, gromadzących cegiełki pokryte pismem klinowem, wśród starochińskich księgozbiorów pałacowych, tuszem utrwalających historję dzięki wynalazkowi pisma, wśród mroków świątyń egipskich, zazdrośnie strzegących wiedzy nagromadzonej na zwojach papirusowych. Rozwinął się w epoce aleksandryjskiej, w której bogaty już dorobek ducha ludzkiego, rejestrowany w rękopisach, przybrał cechy obrotu międzynarodowego. W mrokach średniowiecza, w zacisznych, oderwanych od życia klasztornych placówkach, służących księdze, wytworzył typ szperacza-mola bibljotecznego, a zarazem miłośnika-wielbiciela księgi, jako źródła prawdy i piękna. Rozkwitł jako pionier kultury księgi w bujnych porywach epoki Odrodzenia, a po wynalazku druku, otwierającym dla bibljotek najszersze możliwości, wszedł w służbę książki z pewnym już zasobem pojęć czy kanonów, wytworzonych rozumieniem i wyczuciem księgi, a ukształtowanych ową wiekową tradycją.

Dzisiejszy bibljofil rozkoszuje się równie rzadkim egzemplarzem, jak i piękną jego oprawą zabytkową czy nowoczesną dobraną do treści książki rozkoszuje się odkryciem nieznanego druku jak i wytwornym krojem czcionki wyłowieniem pomysłowego exlibrisu jak i dzisiejszą ilustracją, wyróżniającą się wartościami kompozycyjnemi i malarskiemi.

Ale światek ten jest jeszcze nieliczny i dosyć zamknięty. „Nie rzucać pereł między wieprze" — musi się nie rzadko jeszcze niestety powiedzieć, widząc, jak książka jest używana do przykrycia garnka z mlekiem, albo do podłożenia pod nogę koślawego stołu. Teraz bibljofil nie będzie mówił z profanami o swych górnych chwilach obcowania z cenną księgą. Radość z odkrycia czy oglądania rzadkiego lub pięknego druku woli podzielić z zamkniętem kołem szperaczy, wspólnie z nim nastawionych na ten sam kamerton wzruszeń.

Bibljofil powie o drugim zbieraczu:

Hultaj ukradł mi książkę!... No, tak, ale była to książka taka a taka i ostatecznie nie dziwię mu się, bo ja zrobiłbym mu to samo.

I choć jest wściekły, rozgrzesza go.

Ale ten sam bibljofil z szacunkiem spogląda na zbieracza, który tąż drogą „zbiera" książki dla wielkiej publicznej bibljoteki.

Dyrektor bibljoteki o czołowem nazwisku w historji bibljotekarstwa, wzbogacając przez szereg lat zbiory tej instytucji drogą zaku-

pów, pozyskiwania darów, zapisów itp., przy notowaniu na każdej nabytej księdze jej proweniencji na licznych egzemplarzach wypisywał słowo: „buchatum“. Czyniło to zadość ścisłości informacyjnej, a zarazem było — gotową ekspiacją.

Więc np. opowiada ktoś „między braćmi“, że w dziurze X, w małym księgozbiorze, mniejsza o to klasztornym czy miejskim, bawiąc tam, zobaczył książkę notowaną u Estreichera tylko w jednej bibljotece. No, ale... Za jakiś czas informator albo ktoś z wówczas poinformowanych wciela ten egzemplarz do zbiorów wielkiej bibljoteki. Liczy się to za zasługę, bo rzadki egzemplarz jest teraz udostępniony, staje się pożyteczny, podczas gdy przy status quo ante niktby go nie oglądał.

Albo: w zakrystji zapadłej wioski plątał się stary, zniszczony modlitewnik, czy brewiarz, już nie używany, mało czytelny. Zabłądził tam bibljotekarz, obaczył książkę, zaproponował, że dostarczy za nią zupełnie nowy, okazały brewjarz. Transakcja doszła do skutku, ku zadowoleniu obu stron. Księga nie poszła drogą handlową dla prywatnego zysku w ręce amerykańskiego dorobkiewicza, lecz znalazła się w wielkiej bibljotece, dostała się na najwłaściwsze miejsce.

Tego rodzaju zjawiska są jednak wyjątkowe.

Biljofile grupują się po większych ośrodkach bibljotecznych, gdzie tworzą własne skupiska, spotykają się na dorocznych zjazdach zawodowych, okolicznościowych, obserwują wzajemnie swą działalność, śledzą, w jakich kierunkach kto pracuje, jakie ma wyniki, jakie indywidualnie wnosi wartości. Oceniają się surowo, wymagają wiele. I tu zachodzi znamienny objaw: podczas gdy w różnych dziedzinach kolekcjonerskich czy w zakresie prac badawczych krzyżują się rywalizacje i występują zawiści, wśród miłośników książki objawy takie należą do wyjątków. Prawdziwy miłośnik książki nietylko nie zazdrości, lecz raduje się szczerze wiadomością, że inny z tego grona odkrył, wyszperał rękopis czy druk nienotowany w bibljografjach, lub rzadki. A cieszy się szczerze, bo takie odkrycie, to dorobek powiększający bibljoteczne zasoby dokumentów kultury. A choćby nawet odkryty egzemplarz stał się z miejsca własnością prywatną, to jeszcze nic złego, albowiem taki już jest zazwyczaj los prywatnych zbiorów, że prędzej czy później, z rozrostem swej rzetelnej wartości, wpływają do dużych centrów, dostępnych dla badań.

Jeżeli zaś bibljofil czegoś drugiemu zazdrości, i to zazdrości równie szczerze, to takiego szczęśliwego wypadku, że właśnie tamtemu powiodło się wzbogacić bibljotekę o wartościowe „buchatum“.

Będąc wzajemnie sędziami surowymi i wymagającymi, mają miłośnicy książki silne poczucie sprawiedliwości i umieją uznać zasługę. Jednym z wyrazów tego uznania, wewnętrznym, „klanowym“ jest odznaczenie „Białym Krukiem“. Jest to order bibljofilski, stworzony przez najstarszą w Polsce organizację miłośników książki w Krakowie. „Kapituła Białego Kruka“ zorganizowana jest na wzór średniowiecznych związków zakonnych, ma w swym składzie różne stopnie i godności, z wielkim mistrzem na czele, ma ustalony regulamin oraz ceremonjał aktu dekorowania. Niedawno „wielką wstęgą Białego Kruka z cymeljami“ udekorowany został zasłużony działacz na niwie kultury książki, ks. biskup Okoniewski w Pelplinie: a odznaczenie zawiozła specjalna delegacja Kapituły z Krakowa.

Drugiem podobnem odznaczeniem, wiele rzadszem od poprzedniego, bardziej trudnem do uzyskania jest order, nadawany przez „Bractwo Szarych Myszy“. Gnieździ się to Bractwo w murach Jagiellonki, której księgozbiór ponad wszystkie inne, choćby swe własne, umiłowało, posiada własną erę rachuby czasu, a mianowicie od ufundowania sali Obiedzińskiego w r. 1517, pierwszego pomieszczenia Bibljoteki Jag. i liczy sobie obecnie 422 rok bytowania. — Rządy w tym królestwie sprawuje „Philobibliotheca“, królowa Szarych Myszy, właścicielka wielu innych jeszcze tytułów, tajemnicza władczyni, o której poza jej nazwą nie można uzyskać więcej wiadomości. Organem Bractwa jest czasopismo „Kornik“ — druk wewnętrzny; numer „Kornika“, wydany niedawno, ukazał się w tak niewielkiej ilości, że bezspornie stanowi największą współczesną osobliwość bibljoteczną.

Ma Bractwo swe ceremonjały i obrzędy, dostępne wyłącznie dla członków. Przyjęcie do Bractwa „profana“ jest szczególnem uznaniem zasług, a nadanie odznaczenia bardzo wysokiem wyróżnieniem. Kapituła z rozkazu królowej nadaje owe odznaczenia „bullą“, pisaną ozdobnie na pergaminie, a utrzymaną w stylu średniowiecznych dyplomów. Na woskowej pieczęci „bulli“ wytłoczona jest mysz.

Przed kilku laty komandorją „Złotej Myszy Inkunabułowej“ został odznaczony redaktor Jan Grzywiński, otrzymawszy zgodnie z ceremonjałem i obyczajami Bractwa imię Jana z Kalendarzowa. Znany ten mól bibljoteczny zasłużył się dobrze w dziedzinie kultury książki przez wydobycie na światło dzienne szeregu pięknych, starych rycin i cennych lub ciekawych druków, zaś w publistyce jako rzecznik dobra Bibljoteki Jagiellońskiej — umiłowanego gniazda Szarych Myszy.

Ostatnio Bractwo zapisało w swych annałach nową pozycję zasług w służbie książki i sławnego księgozioru Jagiellonki, nadając bibljotekarzowi dr Aleksandrowi Birkenmajerowi odznaczenie „Złotej Myszy Inkunabułowej“ i zaszczytny tytuł „Wielkiego Kustosza“. Uroczystość ta była połączona z pożegnaniem dra Birkenmajera, przechodzącego na stanowisko dyrektora Bibljoteki Uniwersyteckiej w Poznaniu. Żegnano serdecznie i z wielkim żalem doświadczonego bibljotekarza-pedagoga i wybitnego bibljotekarza-

Dokończenie na str. 18-ej.

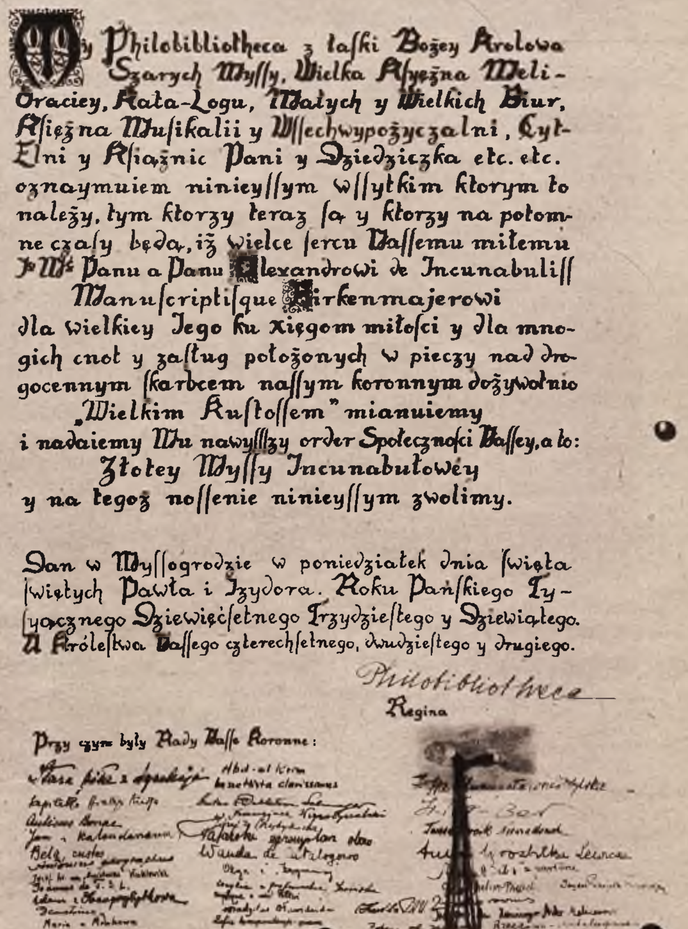


Powyżej: Sala Obiedzińskiego w Bibljotece Jagiellońskiej jest siedzibą „Bractwa szarych myszy“.



Powyżej: A oto odznaki komandorji „Złotej myszy inkunabułowej“.

Poniżej na prawo: „Bulla“ nadająca odznaki „Złotej myszy inkunabułowej“.



My Philobibliotheca z łaſki Bożey Krolowa Szarych Myſſy, Wielka Kſyężna Meli-Oraciey, Kata-Logu, Małych y Wielkich Biur, Kſięzna Muſikalii y Wſſechwypożyczalni, Cytelni y Kſiążnic Pani y Dziedziczka etc. etc. oznaymuiem ninieyſſym wſſytkim ktorym to należy, tym ktorzy teraz ſą y ktorzy na potomne czaſy będą, iż wielce ſercu Naſſemu miłemu JWć Panu a Panu Alexandrowi de Incunabuliſſ Manuſcriptiſque Birkenmajerowi dla wielkiey Jego ku xięgom miłoſci y dla mnogich cnot y zaſług położonych w pieczy nad drogocennym ſkarbcem naſſym koronnym dożywotnio „Wielkim Kuſtoſſem“ mianuiemy i nadaiemy Mu nawyſſzy order Społecznoſci Naſſey, a to:
Złotey Myſſy Incunabułowey
y na tegoż noſſenie niniejſſym zwolimy.

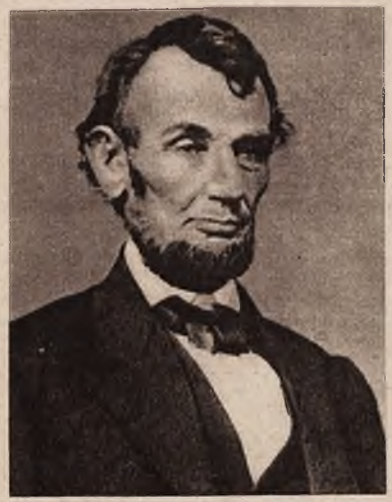
Dan w Myſſogrodzie w poniedziałek dnia ſwięta ſwiętych Pawła i Izydora. Roku Pańſkiego Tyſiącznego Dziewięćſetnego Trzydzieſtego y Dziewiątego. A Króleſtwa Naſſego czterechſetnego, dwudzieſtego y drugiego.

Philobibliotheca
Regina

Przy czym były Rady Naſſe Koronne:



Szukamy IDEALNEGO męża...



Abraham Lincoln.



Benj. Disraeli, hr. of Beaconsfield.



Napoleon III.



Karin Michaelis, znana autorka.



Lew Tołstoj.



Kogoby tu wybrać na męża?

Mówią, że 99 procent małżeństw jest nieszczęśliwych. Ale kto wie, czy i ten 1 procent nie jest w błędzie. Czyli niema szczęśliwych małżeństw. Ale może powód nie leży w małżeństwie, lecz w nas samych? Niema bowiem całkowicie szczęśliwych ludzi! Trzeba jednak tak postawić pytanie: Dlaczego tyle małżeństw jest niedobranych? Co robić, ażeby małżeństwo dało obu stronom maksimum radości?

Na to pierwsze pytanie odpowiada Karin Michaelis. Wielka pisarka i społeczniczka, przypisuje nieszczęścia małżeńskie nerwom. Dzisiejsze ciężkie warunki bytowania, walka o chleb codzienny, niepewność jutra, powodują, że małżonkowie przestają się sobą interesować. Każde zasklepia się w kręgu własnych kłopotów, a wzajemnie raczy się jedynie docinkami, goryczą zaprawionemi. Gdy i to się sprzykrzy, wówczas zaczynają małżonkowie przechodzić obok siebie, jak dwoje obcych ludzi. Nie rozwodzą się, bo nie jest to właciwie dzisiaj wyjściem z sytuacji. Żona przeważnie nie wie dokąd pójść, a poza tem uzyskanie rozwodu związane jest z tyloma kłopotliwemi i kosztownemi formalnościami. Mąż znowu nie ma pieniędzy ani czasu, ażeby się tem zajmować. Karin Michaelis radzi kobietom obdarzać mężczyznę większą pobłażliwością i wyrozumiałością. Zdaniem jej jest to jedyny sposób utrzymania męża przy sobie i uniknięcia stworzenia sobie piekła na ziemi.

Pisarz amerykański Dale Carnegie twierdzi, że główną przyczyną niepowodzeń w małżeństwie jest niedobór charakterów (o ten mankament rozbiły się małżeństwa Napoleona III, Tołstoja, Lincolna i żeby tylko tyle!). Jak dalece łagodność usposobienia żony, jej optymizm życiowy i chęć rozsiewania dokoła radości, potrafi życie mężowi i otoczeniu opromienić, że może nie zwracać uwagi na walory zewnętrzne kobiety, a nawet wewnętrzne (inteligencję), mamy najlepszy przykład na angielskim mężu stanu Disraelim. Żona jego, o 15 lat starsza, nieładna i nieszczególnie inteligentna, była za to dobrą, wyrozumiałą, pogodną i nadwyraz taktowną osobą. Przez 30 lat żyła z nim, jako wierna i oddana towarzyszka sławnego męża. Nie było to zresztą rzeczą przypadkową, że Disraeli ożenił się z taką właśnie kobietą. Wyraził się on kiedyś w liście do swojej siostry w ten sposób:

„Wszyscy moi przyjaciele, którzy pożenili się z miłości, biją swe żony, albo się z niemi rozwodzą. Być może, że popełnię w życiu wiele szaleństw, ale się nie ożenię z miłości, ponieważ mam pewność, że to jest gwarancja nieszczęścia".

Na marginesie tych wynurzeń, jednak nasuwa się mimowoli pytanie: Pocóż więc istnieje miłość? Pesymista odpowie: Nie do tych celów. Nie należy też, mówi Carnegie, w małżeństwie krytykować. Trzeba żonę kochać taką, jaką jest, razem z jej zaletami. Często bowiem się zdarza, że zalety kobiety bardziej męża denerwują, niż jej wady. Gdy żona jest np. za dobra, męża to nieraz złości. Z tego jednak nie wynika, by znowu wady żoneczki zawsze mu się podobały. To bardzo skomplikowana sprawa!

W małżeństwie trzeba być aktorem, trzeba robić przyjemną minę nawet, jeżeli się nie jest w szczególnie radosnym nastroju. Sarkastyczne i zgryźliwe docinki, wypowiedziane pod wpływem złego humoru, to zatrute strzały, które nieraz jednym zamachem potrafią zniszczyć misternie zbudowane szczęście małżeńskie. W porę i z umiarem wypowiedziany komplement także wpływa na dobry nastrój między małżonkami.

Kobiety bardzo są wrażliwe na punkcie pewnych rocznic. Bukiecik kwiatów, przyniesiony przez pamiętającego małżonka w rocznicę poznania, pierwszego pocałunku czy 25-lecia ślubu jakąż będzie miłą niespodzianką. A mało który mąż przecież o tem pamięta!

Wspomniałam już przedtem, jak doniosłą rolę odgrywa w małżeństwie takt. Dobre maniery, to rzeczywiście kardynalny warunek harmonijnego pożycia. Nawet ludzie niedobrani pod względem fizycznym i psychicznym — kończy wywody swoje Carnegie — mogą jakoś przejść przez życie bez awantur, scen, jeżeli tylko są dobrze wychowani.

Niedawno wśród dziewcząt amerykańskich rozpisano ankietę na temat: „Jaki powinien być idealny mąż?" Otóż cechami najidealniejszego męża — wedle Amerykanek — powinny być: lojalność, umiłowanie ogniska rodzinnego, dobre zdrowie, charakter, serce dla dzieci, poczucie humoru, rycerskość, zrównoważone usposobienie, towarzyskość, powodzenie w karjerze życiowej, niewybredność w jedzeniu (jeżeli idzie o męża niezamożnego), no i wkońcu może najważniejszy walor: pociąg fizyczny.

Gdy kiedyś znowu przed wojną ogłoszono w Ameryce konkurs p. t.: „Jak zabezpieczyć sobie szczęście w małżeństwie?", pewna powieściopisarka nadesłała lakoniczną odpowiedź: „Feed the beast!" (Nakarm bestję). Świętą miała rację owa pani, bo to oklepane powiedzenie o miłości, która wiedzie przez żołądek, było jest i będzie zawsze aktualne. Pewien dziennikarz budapeszteński słusznie kiedyś zauważył, że po to obdarza swoją narzeczoną słodyczami, ażeby ona mu się w małżeństwie rewanżowała dobrze przyrządzonym befsztykiem.

Ostatnio rozpisano w Anglji ankietę pt. „Chcemy znaleźć najszczęśliwsze małżeństwo!" Warunkiem konkursu jest odpowiedzenie na różne pytania. Oto najważniejsze z nich: 1) Jak długo znał pan (i) swojego męża (żonę) przed ślubem? 2) Czy mieszka pan (i) blisko rodziny żony (męża)? 3) Jak często otrzymuje pani od swojego męża podarunki? 4) Kiedy ostatnio kłócił się pan (i) ze swoją żoną (mężem)? 5) Co jest przeważnie powodem waszych sprzeczek? 6) Czy rozważaliście już kiedyś kwestję rozwodu? 7) Czy macie jednakowe zainteresowania do rozrywek? 8) Czy uważa pani (i), że za mało wzgl. za dużo widzi swoją żonę (męża)? 9) Czy otrzymuje pani od swojego męża wystarczającą ilość pieniędzy. Cykl ten kończy zapytanie: „Dlaczego uważacie się za najszczęśliwsze małżeństwo?".

Jak z powyższego wynika, kwestja, czy w małżeństwie można znaleźć szczęście, jest żywo przez wszystkich komentowana i służy zawsze za wdzięczny temat dla literata czy też dziennikarza do rozlicznych rozpraw, konkursów, dyskusyj itp. Niech każdy z Was — Czytelnicy — zastanowi się we własnym interesie nad temi 9-ma pytaniami.

Mojem skromnem zdaniem, jednak najważniejsze jest: „Nie obiecywać sobie zbyt wiele po małżeństwie!" Rację miała pewna para, która pobrała się w Nowym Jorku i rozesłała do znajomych następującej treści zawiadomienie: „Ślub państwa X. odbył się dnia 1[?] IV w Nowym Jorku. Nowożeńcy udali się w podróż poślubną do Londynu, skąd wyjadą do Nicei, gdzie odbędzie się rozwód". Można mieć nadzieję, że państwo X. nigdy się nie rozejdą!

E. H.



Na lewo! Zasadnicze typy męskie, których zewnętrzny wygląd świadczy o ich charakterze. Rysunki: Charlie.

Poniżej: Gdyby pośrednictwo małżeństw ujęte było w tak „kupieckie" ramy, demonstrowanoby kandydatów małżeńskich jak w domu mód modele sukien.



Dokończenie ze str. 5-ej.

lu" zmienia się, zależnie od stref klimatycznych, a nawet ofiarowuje smakoszom potrawy egzotyczne, „reprezentacyjne" dla danego kraju, stanowiącego etap lotniczej podróży.

Opowiadają, że w Beihrein, położonem w Zatoce Perskiej, gdzie samoloty angielskie, lecące do Australji, odbywają postój — kucharz pokładowy zaopatruje się w kraby, łowione tutaj przez rybaków, a stanowiące przysmak nielada.

Po obiedzie — dla „rozkręcenia" mięśni ten i ów próbuje poćwiczyć jakiegoś żwawego „foxa" lub powolne tango... Tak, i to przewidzieli organizatorzy: w obszernym korytarzu, stanowiącym normalnie „deptak" — przy dźwiękach muzyki mechanicznej pary puszczają się w pląsy.

Potem Mister Jerry i miss Mabel mogą się pochwalić, że tańczyli na wysokości 2 tysięcy metrów. I do tego nie na jakimś „stałym" szczycie, ale dosłownie w powietrzu.

Nie będziemy wysnuwać zbyt daleko idących wniosków psychologicznych z komfortu, panującego w „latających hotelach", a powiemy tylko, że komfort ten wypływa z typowo angielskiego poglądu na życie i typowo angielskiej solidności. Klasycznym przykładem tej mentalności jest fakt, że podczas wojny światowej żołnierze angielscy przed każdym atakiem starannie się golili, uważając, że nawet w chwili śmierci powinno się utrzymać „standart życiowy". Inna rzecz, że nieraz musieli zamiast wody używać do golenia czarnej kawy. Ale mimo wszystko nie zrezygnowali z komfortu, choćby w jego najprymitywniejszem wydaniu.

Jarosław Janowski.

Dokończenie ze str. 15-ej.

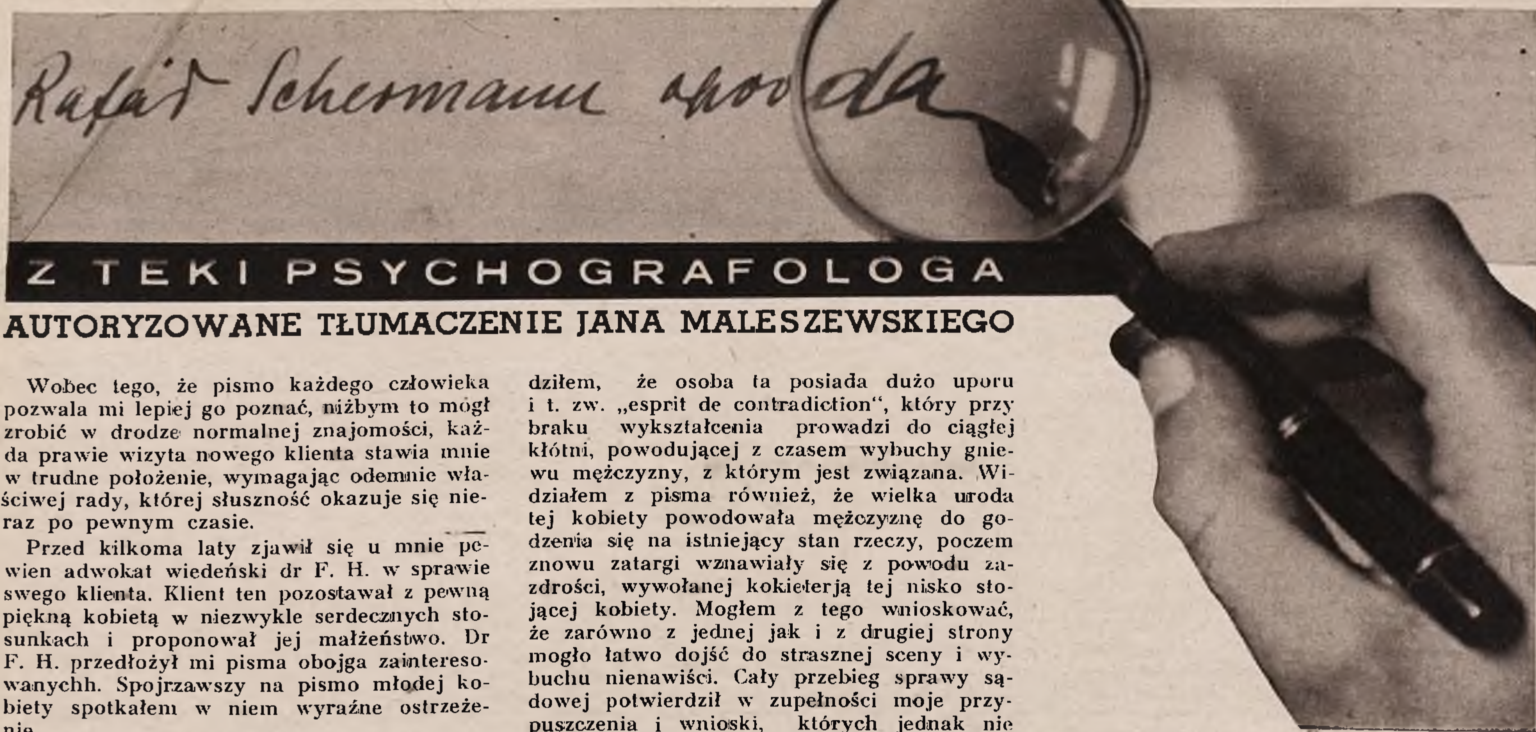
naukowca. Bo też dr Birkenmajer, to vir in bibliognosia peritissimus, uczony badacz i znawca starej księgi, a zwłaszcza rękopisów średniowiecznych, inkunabułów i oprawy. Żegnano go jednak z nadzieją, że to chwilowa tylko rozłąka jego — z ukochanym księgozbiorem i terenem pracy, zaś Bractwa — z ulubionym i cenionym Mistrzem „Wielkim Kustoszem" drogocennego skarbca Jagiellonki Aleksandrem de Manuscriptis Incunabulisque.

— Ależ to wszystko igraszki! — powie ktoś, stojący zdala od zagadnienia książki i jej apostolstwa!

Otóż nie. W służbie kultury tak trudnej w powojennem spustoszeniu, tylko jednostki pracują dla dobra książki i dla tak ważnych placówek, jakiemi są bibljoteki. Wśród tej nielicznej rzeszy akt uznania ma ważką wymowę dla wszystkich, którzy rozumieją książkę, choć jest to akt wewnętrzny, cichy, tak jak cichą jest sama praca w owej dziedzinie. Jak w średniowieczu cywilizacyjną misję pełniły rycerskie zakony, tak dziś do podobnej służby stanęły zrzeszenia miłośników książki, jako zakon kultury.

Ale zrozumie to tylko ten, kto sam na sobie doświadczył i odczuł, że przez obcowanie z księgą człowiek staje się lepszy i bliższy Bogu.

„Gęsie pióro".



Z TEKI PSYCHOGRAFOLOGA

AUTORYZOWANE TŁUMACZENIE JANA MALESZEWSKIEGO

Wobec tego, że pismo każdego człowieka pozwala mi lepiej go poznać, niżbym to mógł zrobić w drodze normalnej znajomości, każda prawie wizyta nowego klienta stawia mnie w trudne położenie, wymagając odemnie właściwej rady, której słuszność okazuje się nieraz po pewnym czasie.

Przed kilkoma laty zjawił się u mnie pewien adwokat wiedeński dr F. H. w sprawie swego klienta. Klient ten pozostawał z pewną piękną kobietą w niezwykle serdecznych stosunkach i proponował jej małżeństwo. Dr F. H. przedłożył mi pisma obojga zainteresowanychh. Spojrzawszy na pismo młodej kobiety spotkałem w niem wyraźne ostrzeżenie.

— Kobieta ta jest poprostu bestją — rzekłem — która wyrachowanie i zimno dąży do celu. W jej pięknem ciele zeszły się wszelkie złe cechy przedewszystkiem egoizm: może ona zniszczyć człowieka z zimną krwią, a jej popędy erotyczne są niezwykle silnie rozwinięte, chociaż nieszczere. Jeżeli pański klient ożeni się z nią nastąpi nieszczęście, t. j. albo ją zastrzeli albo ona jego.

Wkrótce potem dr F. H. poinformował swego klienta o mojej ekspertyzie: mimo wszystko miał wiele kłopotu, aby odradzić mu małżeństwo z tą kobietą.

Na marginesie tej sprawy muszę poruszyć pewien możliwy zarzut, który mógłby mi ktoś postawić, mówiąc: „Jeżeli pan przewiduje zabójstwo na tle tego małżeństwa, to jest pan chyba prorokiem". Ja natomiast odpowiem, że na podstawie pisma tej osoby mogłem wysnuć logiczne wnioski — nie będąc prorokiem. Gdyby chodziło jedynie o dostarczenie dowodów jej złego charakteru, to przecież możnaby je zebrać przy pomocy prywatnych detektywów. Potwierdzenie mojej diagnozy o nieszczęściu, jakie spowoduje małżeństwo z tą kobietą miało nastąpić dopiero w przyszłości.

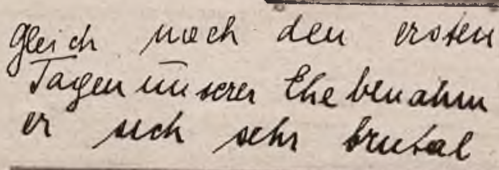
Ja sam nie interesowałem się więcej tym wypadkiem, a gdy byłem przelotnie w Wiedniu starałem się znów spotkać dr F. H., co jednak z powodu braku czasu nie doszło do skutku. W pewien czas później otrzymałem od niego list w tej sprawie: „Ekspertyza pańska przekonała mego klienta i przestał się widywać ze swoją znajomą. Projekty małżeskie przestały go interesować. W półtora roku później została znajoma mego klienta, która w tym czasie utrzymywała bliskie stosunki z pewnym młodym człowiekiem, przez niego zastrzelona na ulicy między „Getreidemarkt" a wiedeńskim domem koncertowym.

Pointą całej tej historji jest to, że zabójca został przez ławę przysięgłych po zaznajomieniu się z charakterem i życiem zamordowanej uwolniony. Panu jedynie zawdzięcza mój klient, że został uratowany przed dalszemi komplikacjami życiowemi".

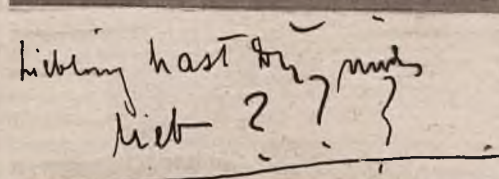
Przytoczone powyżej fakty mogą niejednemu wydać się nieco nieprawdopodobne, przypominając jakąś proroczą historję. Postaram się jednak wytłumaczyć całą rzecz, przytaczając szczegóły grafologiczne. Gdy tylko zobaczyłem pismo tej kobiety stwierdziłem, że jest ona niezwykłą egoistką, ma charakter prostacki, a jedynym jej atutem jest jej wielka uroda. Równocześnie stwierdziłem, że osoba ta posiada dużo uporu i t. zw. „esprit de contradiction", który przy braku wykształcenia prowadzi do ciągłej kłótni, powodującej z czasem wybuchy gniewu mężczyzny, z którym jest związana. Widziałem z pisma również, że wielka uroda tej kobiety powodowała mężczyznę do godzenia się na istniejący stan rzeczy, poczem znowu zatargi wznawiały się z powodu zazdrości, wywołanej kokieterją tej nisko stojącej kobiety. Mogłem z tego wnioskować, że zarówno z jednej jak i z drugiej strony mogło łatwo dojść do strasznej sceny i wybuchu nienawiści. Cały przebieg sprawy sądowej potwierdził w zupełności moje przypuszczenia i wnioski, których jednak nie można nazwać proroctwem.

Na tem moglibyśmy zamknąć sprawę z punktu widzenia psychografologji. Pozostaje jeszcze sprawdzenie próbek pisma, które zarówno pod względem treści, jak też samych cech grafologicznych przedstawiają się niezwykle oryginalnie.

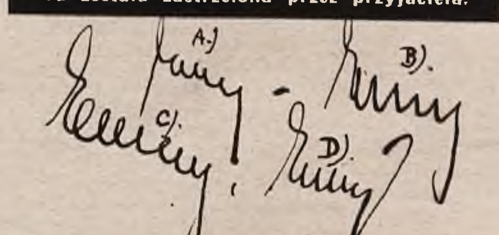
Zapytanie: „Najdroższy, czy naprawdę mnie kochasz?" i odpowiedź na to pytanie stanowi dla zakochanych o ich przyszłem szczęściu. Niecierpliwość z jaką się oczekuje odpowiedzi musi się uwidocznić w piśmie: nie potrzeba być jednak wielkim znawcą duszy ludzkiej, aby poznać, że pismo kobiety, o którą chodzi, nie wyraża tego koniecznego napięcia. Pismo zdradza przeciwnie znudzenie i słowa te mogły być nakreślone w jakiejś kawiarni w chwili, kiedy robmowa z znajomym się nie kleiła. Z całą pewnością można twierdzić, że pisząca nie zdawała sobie sprawy z powagi swych słów. Mężczyzna, do którego zwrócone były te słowa nie gra w jej życiu najmniejszej roli: słowo „Duśś pisane jest opadająco, znajduje się niejako pod wierszem. Ujawnia ono graficznie stosunek jej do tego mężczyzny, którego po odrzuceniu zastąpi innym. Już w tej chwili myśli ona o jego następcy, albo też o kilku mężczyznach. Tylko egoizm każe jej odgrywać rolę kochanki na życie i śmierć, a w chwilach kłótni natura jej tworzy niebezpieczeństwo tragicznego zakończenia. Najlepiej charakter tej osoby, a zwłaszcza nieobliczalność jego wykazują esy floresy przy podpisie (A, B, C) wyjęte z różnych jej listów. Pętle te przypominające literę j albo y, nie są nigdy zamknięte, chociaż następuje po nich punkt. Zwróćmy też na to uwagę, że żaden zawijas nie jest podobny do drugiego. Trzecia pętla wyjęta jest z pisma, w którem kobieta ta donosi, że nie będzie mogła się z powodu choroby spotkać ze swym znajomym. Koniec tego „ogonka" nie jest w odróżnieniu do innych spiczasty, lecz okrągły, nie budzi wrażenia normalnego zawiadomienia o chorobie, lecz kłamliwego wykrętu. Jedynie „ogonek" w podpisie D świadczy o pewnej powadze myśli tej osoby: pochodzi on z ostatniego listu, jaki do niego pisała, przeczuwając zapewne, że listem tym kończy swoją znajomość. Wspomniane zakończenie D jest nietylko zamknięte, ale posiada nawet swoje przedłużenie podobne do nawiasu. Punkt, który tam znajdujemy, a którego zwykle nie ma, zdradza zupełne nieopanowanie, kobieta ta bowiem zauważyła, że uczucia mężczyzny doznały dużej zmiany, co zresztą nastąpiło po mojem ostrzeżeniu. Pomimo jej starań ułożenia całej sprawy doszło do zerwania i młody człowiek uwolnił się od jej wpływu, czekając czy moja przepowiednia się spełni. Jak się okazało, spełniła się ona dosłownie: kobieta stała się ofiarą swojego kapryśnego egoizmu.



Pismo córki bankiera.



Fragment listu „fatalnej kobiety", która została zastrzelona przez przyjaciela.



Charakterystyczne dla pisma kobiety o złym charakterze a wielkiej urodzie „pętlę", z których psychografolog wysnuwa swoją ekspertyzę.

* * *

Zwłaszcza w sprawach małżeńskich nie umieją sobie ludzie przeważnie dać rady, a właśnie w takiej sytuacji przecież należałoby zasięgnąć rady psychografologa. Udzielanie więc rad kandydatom do małżeństwa należy siłą rzeczy do moich najważniejszych zadań. Ciągle spotykam się z temi trzema pytaniami: „Czy mam się ożenić z tą kobietą?", „Czy mam się rozwieść?", „Dlaczego moje małżeństwo jest nieszczęśliwe?", Rady trzeba dawać bardzo oględnie, aby pokazując prawdę nie pozbawić nadziei na przyszłość. Oczywiście, że przed małżeń-

stwem obie strony starają się wydać się sobie jak najlepszemi: ukrywają swoje wady i starają się ustrzec przed wszelkim fałszywym krokiem. To co można jednak ukryć swojem postępowaniem, tego nie da się ukryć w piśmie, dlatego też uczciwy psychografolog nieraz musi ostrzec przed związkiem, wydającym się obu stronom wysoce pożądanym.

Przed laty odwiedził mnie pewien znany wiedeński bankier w sprawie swej córki, która wkrótce miała wyjść zamąż. Małżeństwo miało dojść do skutku dzięki rodzicom panny, którzy zwrócili na nią synowi również znanego bankiera uwagę. Naiwna dziewczyna nawet nie przypuszczała, że wyjdzie zamąż jedynie dla dogodzenia obliczeniom rodziny, myśląc, że jest szczerze kochaną. Ojciec miał pewne wątpliwości co do szczęścia tego małżeństwa i pewne wyrzuty sumienia, to też chciał w ostatniej chwili, — ślub miał się odbyć niebawem, — usłyszeć moje zdanie.

— Niech pan nie dopuści do tego małżeństwa — rzekłem do mego gościa po przeczytaniu pisma obojga narzeczonych. Małżeństwo to wkrótce rozleci się: córka pańska nie nadaje się do tego zasadniczo brutalnego a tylko nazewnątrz dobrego człowieka. Jest pańskim obowiązkiem otworzyć swej córce oczy, by ustrzec ją przed wielkiem rozczarowaniem zaślubienia człowieka, którego pańska córka kocha. Już w kilka dni po ślubie będzie się z nią tak obchodził, że go porzuci i będzie szukać opieki w domu rodzicielskim.

Przerażony ojciec starał się zmylić moją opinję, przedstawiając mi wszystkie zewnę-



grube, hawańskie cygaro bankiera zgasło...

trzne dodatnie strony małżeństwa, podkreślając dobre wychowanie narzeczonego, jego wzięcie w towarzystwie itd.

— Czy pan szuka dla swej córki męża, czy też dobrego tancerza? Sądząc po piśmie mogę panu powiedzieć, że posiada on zalety towarzyskie, a nawet jest świetnym tenisistą i graczem w golfa. Właśnie te zalety bynajmniej nie predystynują go na męża dla pańskiej córki, która jest osobą o wielkich zaletach serca i duszy. Nawet względy finansowe nie pozwalają panu poświęcać swej córki.

Grube hawańskie cygaro, które palił, dawno zgasło a mój gość stawał się coraz bardziej ponury. Wkońcu powiedział:

— Boję się, że jest za[illegible]no, gdyż moja córka kocha swego narzeczonego do szaleństwa. W każdym razie obiecuję panu, że dołożę wszelkich starań, aby małżeństwo nie doszło do skutku.

Z temi słowami opuścił moje mieszkanie bankier, a twarz jego była ponura, jakby przeżył „krach" na giełdzie.

Od tej chwili upłynął rok: dawno zapomniałem o bankierze, aż naraz przypomniał mi całą sprawę list jego córki. List brzmiał następująco:

„Polecił mnie pan swego czasu ostrzec przed zaślubieniem mojego narzeczonego, uważając, że małżeństwo to wkrótce się rozleci. Nie wierzyłam pańskim słowom i wyszłam mimo wszystko zamąż. Niestety miał pan rację: już po pierwszych dniach małżeństwa stał się mój mąż tak brutalny, że dalsze współżycie było niemożliwe i musiałam się rozwieźć. Nigdybym nie uczyniła tego kroku, gdybym była wtedy zawierzyła pańskim słowom. Obecnie wyszłam drugi raz zamąż. Ale dlaczego czuję się taka nieszczęśliwa? Czy zaznam kiedykolwiek spokoju? Czy mam się znowu rozwieźć?".

Próbka pisma drugiego męża przekonała mnie, że jest to wartościowy i dobry człowiek, dlatego też poradziłam jej pozostać przy swoim obecnym mężu, a ona pełna dobrych myśli przyrzekła mi pójść za moją radą.

Tak, mogą się mylić serca a ludzie umieją się maskować, ale wszystkie ich cechy charakteru odbiją się mimo wszystko w piśmie.

* * *

Przypomina mi się pewien ciekawy wypadek o niezwykłej tragiczności, dotyczący jednej kobiety, która niedawno temu mnie znowu odwiedziła, opowiadając o dalszym rozwoju swego życia.

Sprawa ta jest o tyle ciekawa z punktu widzenia psychografologicznego, że wszystkie moje przepowiednie wysnute z jej pisma oraz z pisma starających się o nią sprawdziły się co do joty.

Kilka lat temu zapoznał mnie mój znajomy podczas mego pobytu w jednej miejscowości kuracyjnej z młodą, przystojną kobietą.

„Chciałabym wyjść zamąż! Dwóch mężczyzn stara się o moją rękę: za którego z tych dwóch mam wyjść zamąż?".

Piękna, smukła kobieta, o kruczo czarnych włosach i ciemnych oczach, które dziwnie w świetle lampy migocą, przedkłada mi dwa listy. Pochodzą one od dwóch starających się, którzy równie kochają młodą kobietę. Z wielkiem napięciem i trwogą oczekuje ona mojego zdania w tej sprawie.

Przebiegam prędko pismo i oddaję listy mojemu gościowi.

— Ten pan wogóle nie wchodzi w grę — oświadczam.

— Dlaczego? — pyta młoda kobieta. — Czy nie byłabym z nim szczęśliwa?

— Może, — odpowiadam, — ale w każdym razie byłoby to szczęście na krótką metę. Człowiek ten myśli o samobójstwie, które popełni w najbliższym czasie. Decyzja jego jest zupełnie dojrzała i niedwuznacznie wynika z jego pisma.

Piękna kobieta blednie i zaciska nerwowo wargi, a potem pyta szeptem:

— A ten drugi?

Trudno jej odpowiedzieć, tak jakbym to chciał uczynić, gdyż i drugie pismo niebardzo mi się podoba. Mimo to muszę ostrzec moją klientkę przed tym drugim mężczyzną. Nie nadaje się on bynajmniej na jej męża, co potwierdza jeszcze jej własne pismo. W najlepszym razie małżeństwo to trwaćby mogło kilka lat, może dwa, może trzy, ale nie dłużej.

Klientka moja wstaje z krzesła i żegna mnie nieco oziębłym ukłonem. Wiem, że nie zdołałem jej przekonać. W miesiąc później znajduję w piśmie wiadomość o jej ślubie: nie poszła za moją radą i wyszła zamąż za drugiego starającego się. *(d. c. n.)*

WIOSNA I STARE MURY

Kościół św. Krzyża w Krakowie. — *Fot. dr. Azet*
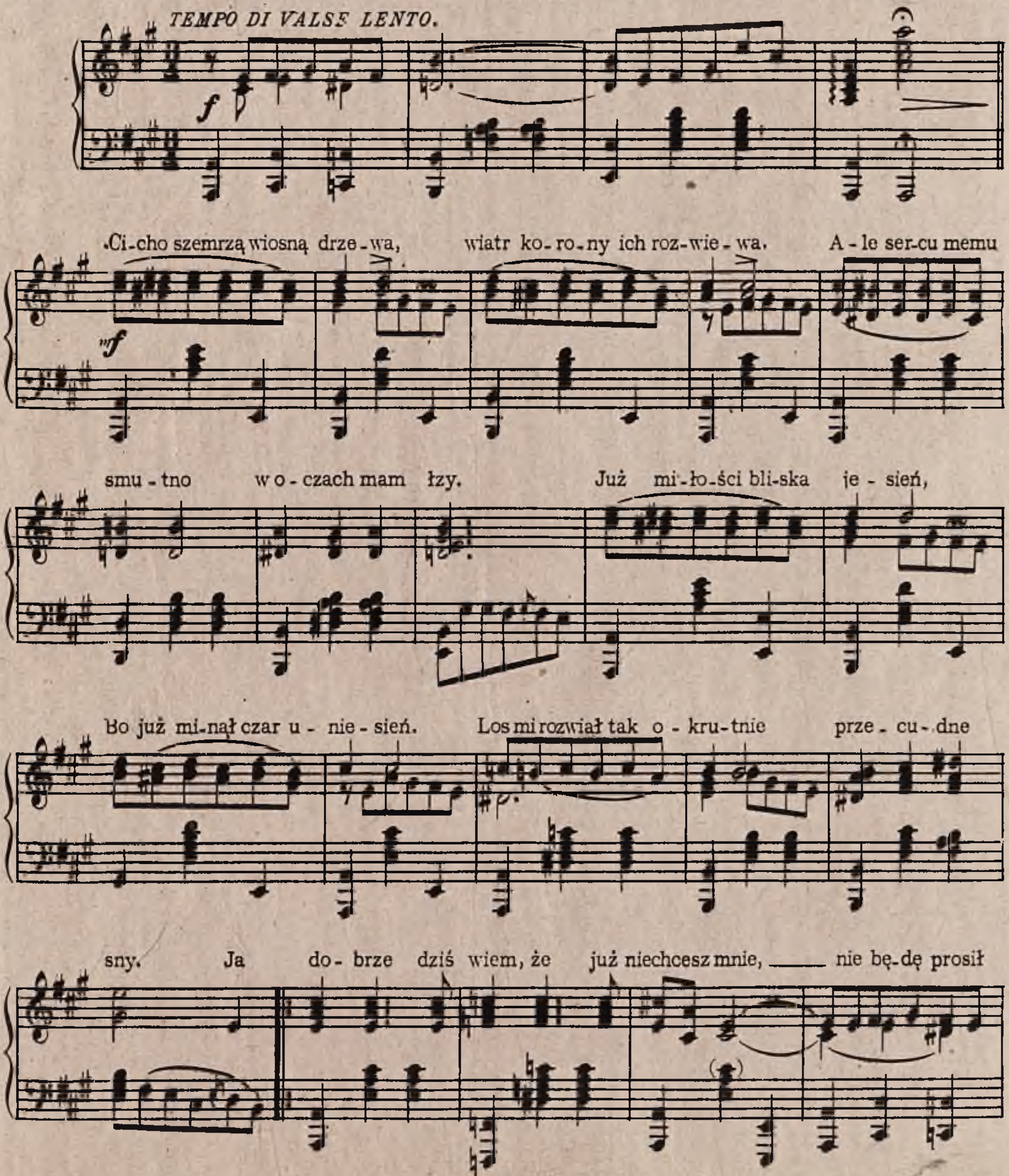


DLA CIEBIE

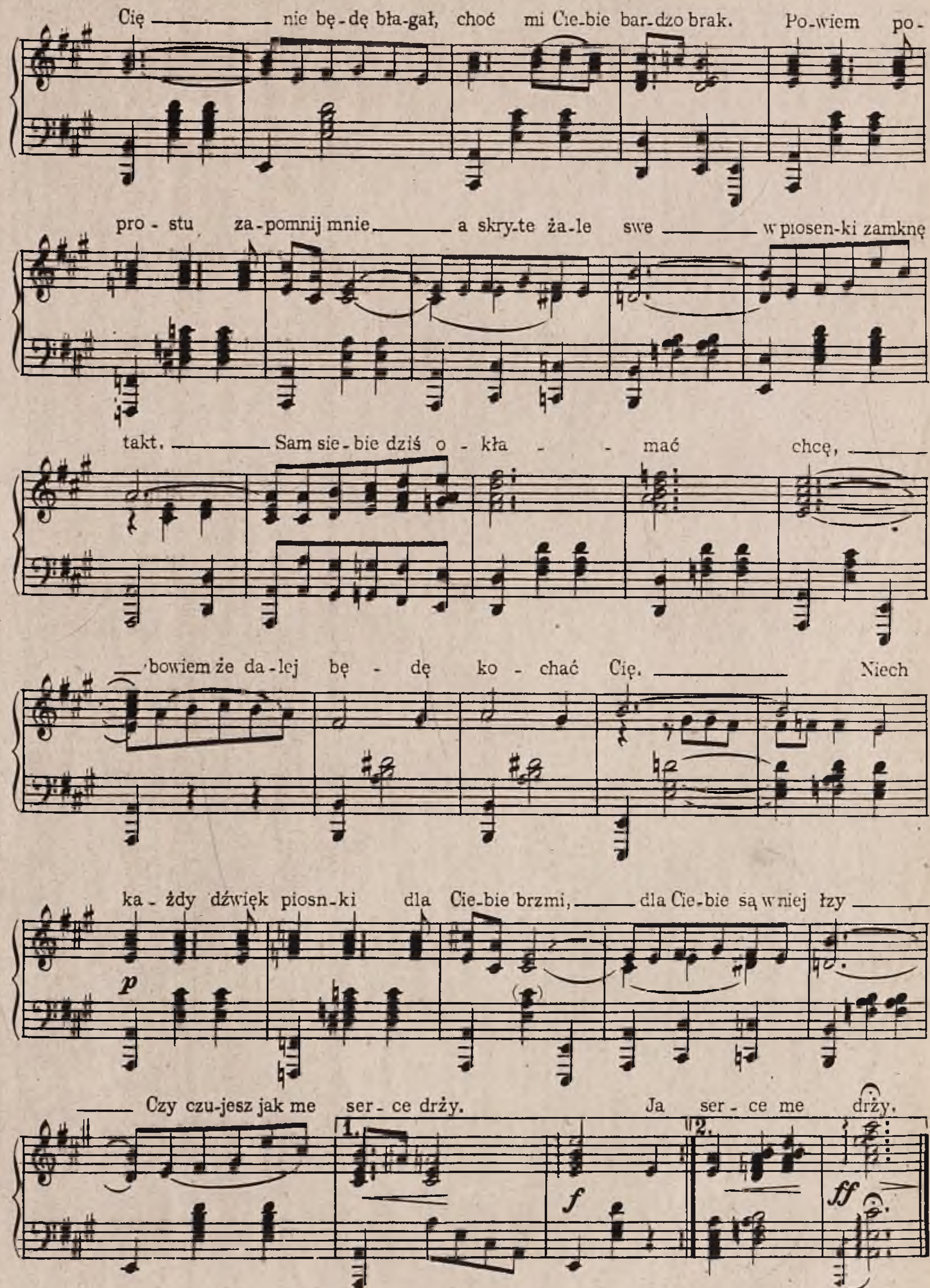
BOSTON



SŁOWA:
J. CHCIUK

MUZYKA:
T. KLOŚ





Pani PODRÓŻUJE...

SZKIC

TEODORJA LISIEWICZ

W wagonie, przy oknie, siedziała kobieta w popielatym kostjumie. Obojętnie patrzyła na uciekające wstecz drzewa i ramiona wiatraków gęsto rozrzucone na piaszczystych wydmach. Dwa... trzy... znów jeden — mogły być, mogły nie być — znów dwa... jeden... tam dwa... drzewa... dwa drzewa... grupka drzew... wiatrak...

Twarz — bez określonego wieku. Oczy — spokojne.

Zapewne myślała o czemś. Możliwe, że wiatraki i piaski przypominały kołatającym się monotonnie myślom, że morze już niedaleko, skoro... Ale ponieważ była to kobieta mimo wszystko młoda i w dodatku kobieta sama, równie dobrze mogła myśleć i o mężczyźnie. Z pewnością! O przeciętnym mężczyźnie, któryby swemi wadami niczem nie odróżniał się od wszystkich innych mężczyzn na ziemi.

Kobieta w swej najprymitywniejszej naturze, jaką ocaliła jeszcze z pierwszych dni chaosu, jest zawsze „powojowata". Stara się żyć życiem odrębnem, ale musi mieć swoje silne oparcie, wokół którego mogłaby się owinąć. Wtenczas dopiero staje się indywidualną.

Kobieta w popielatym kostjumie wyszła na korytarz. W drzwiach sąsiedniego przedziału stał mężczyzna. Palił papierosa. Wysoki był, rosły, ubranie leżało na nim do skonale, zgadzało się z krawatką, krawatka z ubraniem, a wszystko razem w harmonijnej wspólnocie zespalało się z bucikami i chusteczką. Twarz ciemna, oczy jasne, ostre, jak dwa pewne światła reflektorów, mogące widziany przedmiot momentalnie uchwycić w krąg swego zasięgu. A zasięg był daleki i mocny. Błyskawiczne, obustronne spojrzenie i kobieta odwróciła się obojętnie ku oknu.

Znała te spojrzenia. Wiedziała doskonale, jak w tej chwili jest wzięta na aptekarską, dokładną wagę plusów i minusów. Czuła dwa promienie X, okręcające się wokół jej brązowych trzewików. Studjowały pilnie fragmentaryczny profil pod kapeluszem, potem znów ześlizgując się po całej sylwetce, zahaczyły o torebkę, trzymaną w ręce, zbadały rodzaj i zawartość, przebiegły po rękawiczkach i zadowolone, rzuciły jeszcze jedno krótkie, ciekawe, bardzo ciekawe spojrzenie na całość. Potem zwrot głowy ku oknu i nowa smuga dymu z papierosa. Teraz znów można było spokojnie myśleć już o czemś innem.

Kobieta wróciła do swego przedziału, zatrzaskując drzwi za sobą.

Znała tego mężczyznę, jak znała wszystkich, do których był podobny. Niczem nie różnił się od nich. Jak w schemacie filmowym, kiedy to znając początek, przewidzieć można zakończenie, wyczuwała niezmienną kolejność obrazów.

...poznanie, którego pretekstem był papieros czy dzienniki. Pewne gorączkowe zdanie, obojętnie kryjące właściwą treść myśli. Dwoje ust, rzucających pytania, dających odpowiedzi, bezładne, banalne, niecierpliwe, wesołe. Dwoje oczu pod pozorem rozmowy, pytające o „tak" lub „nie" spotkanej kobiety, dwoje oczu, mówiących to „tak" lub „nie", zaakcentowane jednem przeciągłem słowem „może". Później nerwowe niedomówienie, zdania nieokreślone, śmielsze spojrzenia. Mały dreszczyk niecierpliwej ciekawości czegoś nowego, choć doskonale znanego — bo cóż może być nowego: końce palców, spotykające się na podanej papierośnicy, czy dzienniku, nagła decyzja, podświadomie powzięta już dawno, choć nie każdy się do niej przyznaje, a teraz przez zamroczony umysł stanowcza, niespokojna — jak skok w nieznanej głębokości wodę. Stacja... tragarz niosący wspólne walizki, taksówka, hotel, może mieszkanie; łzawy, roztkliwiający, na codzień nudny, teraz interesujący, niewiadomo skąd, poco i na co wygrzebany sentyment godziny wieczornej, serdeczna — ach jak serdeczna — pogwarka przy stoliku w restauracji. Szalenie miły jest zapach perfum, które pani używa! — Jakie dziwne znamię ma pan na ręce! — Stopniowe wtargnięcie w najtajniejsze myśli, wydobywanie dziwnie łatwych zwierzeń, jakaś nagła tęsknota ku poczciwości uczucia, jakieś nagłe zaufanie, zrodzone i oparte tylko i wyłącznie na pociągu fizycznym. Noc, cichy choć łomoczący biciem serca pokój, kryjący w sobie nieznane historje, nieznane życie, może radości — ale to wątpliwe. Daleki szum przejeżdżających aut, zciszony turkot wozów, kotłowisko odległego tylko o ścianę nocnego, słabiutkiego, chorego tętna ulicy. Spuszczono rolety, przesiąkające wąskie, zielone pasma bladych latarni, kładące się na nieznanych meblach, chłodny zapach świeżej pościeli, zmieszany z zapachem otwartej walizki, niosącej w sobie przez wszystkie drogi i miasta zapach własnych rzeczy i własnego domu. Ciche otwarcie drzwi, mroczna plama na mrocznem tle ściany, teraz już bardzo niespokojne bicie serca — niewiadomo poco, naco, dlaczego — i zupełne — napuszone próżnością miłości własnej dwóch jednostek — zapomnienie w dwóch nowych rękach, by w parę sekund później przekonać się, że niczem nie różnią się od tych, które były pierwsze, drugie, dziesiąte, ostatnie. Bo w tej dziedzinie, tak ujętej, czyż jest kiedy coś nowego? Wrażenie mniejszej lub większej emocji — może nawet... ale nie, skąd. Te same słowa, ten sam odruch fałszywej szczerości, potem to samo zobojętnienie i zmęczenie, sztuczne pożegnanie. A potem? albo... nie, najczęściej taksówka, dworzec...

...dlatego kobieta w popielatym kostjumie wróciła do swego przedziału i zatrzasnęła drzwi za sobą.

W takt miarowego obrotu kół, pociąg zbliżał się do Calais...

— — — — — — — — — — —

Gdy tylko statek zakołysał się w porcie, gdy tylko opuszczono pomost, młody człowiek pierwszy, przepychając się, potrącając, przepraszając i nie przepraszając, wyskoczył na ląd, jak gdyby dotknięciem stałej ziemi, zrywał ostatnie wspomnienia, łączące go z odbytą podróżą.

Nie oglądając się za siebie, jakby w obawie, że ktoś jeszcze może podążyć za nim, rzeczy oddał tragarzowi, polecił zająć miejsce w pociągu i sam, mając jeszcze godzinę czasu, ruszył czemprędzej piechotą przez miasto.

Na bulwarach było cicho spokojnie. Łodzie rybackie, statki mniejsze, większe, holowniki stały bez ruchu na mętnej, zielonej wodzie, a las żagli, lin i kominów wiązał je w górze czystym rysunkiem pająka-geometry.

Nie ciekawiły go odarte z barw zimne porty Północy. Było w nich coś najzupełniej sprzecznego z jego naturą. Romantyzm, który miał w każdej kropli krwi swojej, kazał mu patrzeć na port i na morze, jak na opowieść pełną palących kolorów i ciepła. Snuł bajki wschodnie na widok okrętów przybywających z dalekich mórz, z za białych od żaru horyzontów, gdzie każda deska pokładu zdawała się być przesiąknięta wonią wanilji, słodkawą surowością nieznanych owoców, cierpkim posmakiem roślinnych soków, nalotem pyłów kwiatowych. Pił pełnym oddechem ostry zapach słonej wody, która pod wpływem żółtego słońca rozkładała na cząstki zielone, długie algi i gąbczastą plątaninę wodorostów. Morze ciepłe, morze południowe, niebieskie, rozjaśnione, skrzące tryljonami żywych jak rtęć kropel, brało zawsze na własność jego oczy i duszę... To, które miał teraz przed sobą było zimne, szare, pozbawione zapachu i radości. Poezja portu znikała. Na Północy morze przestawało być sobą, traciło własność żywiołu graniczącego prawie z żywiołem ognia, było materją ujętą w rachuby ludzkie, które z mięsa i tłuszczu srebrnych stworów pobudowało porty, składy, statki i łodzie, olinowało je siecią masztów, przybrało dla korzyści płótnami żagli.

Szybko minął dzielnicę portową i prawie wślizgnął się w nierówne zygzaki wąskich uliczek. Chwilę zatrzymał się przed starą bramą, która wyobraźni nagle przywiodła naiwny obraz dyliżansów; jakgdyby pod jej łukowatem sklepieniem, drżał jeszcze jakiś biedny, zapomniany jeden dźwięk trąbki pocztyljona. Rzucił okiem na parę niskich, zgrzybiałych, przysiadłych domów. Stanął przed muzeum. Miał jeszcze 45 minut czasu. Wszedł do środka. Pobieżnie przeglądnął gablotki, zatrzymał się przed łódką balonu, którym po raz pierwszy usiłowano przelecieć kanał La Manche i przeszedł do drugiej sali.

Przed szafą z fajansami, pokrytymi najwyszukańczą siatką lat, stała kobieta. Strojna, wysoka, czarna. Zauważył jej ładny owal twarzy, mocno pociągnięte brwi i miłe, bardzo czerwone usta. Błyskawiczne obustronne spojrzenie i pani odwróciła się obojętnie w drugą stronę, właśnie tam, gdzie za szkłem czystem jak woda, na żółtawem tle talerzy rysowały się kwiaty. Kwiatów nie widziała. Młody człowiek taksował ją wzrokiem szybkim jak myśl, która się teraz

zrodziła, dokładnym jak konstrukcja silnika. I już zdecydowanie zainteresował się blademi niby dym fabryczny wazami — tuż obok kolekcji talerzy — gdy pani odwróciła się zdolna i rzuciła śmiałe, niczem nie zachwiane spojrzenie. Nie było wątpliwości. Wątpliwość w tym wypadku byłaby już przesadą. W tej chwili uprzytomnił sobie, co mogło nastąpić...

...i młody człowiek wyszedł z sali, rzuciwszy tylko przelotne spojrzenie na łódkę balonu, którym usiłowano po raz pierwszy pokonać kanał La Manche....

Na dworcu wszedł do restauracji. Był głodny. Przed chwilą przyjechał ekspress z Paryża. Wszystkie stoliki były zajęte. Przy jednym tylko, nakrytym na dwie osoby, siedziała blada kobieta w popielatym kostjumie. Zdjął czapkę, mruknął coś, co miało być pytaniem, kobieta ledwie skinęła głową. Usiadł. Spojrzeli na siebie raczej z niechęcią, niż obojętnie. Mężczyzna i kobieta ujrzeli w sobie swego stałego wroga, przeciętność spotkania, możliwość zetknięcia. Ona jadła befsztyk z kartoflami, smażonymi na oliwie, jemu podano bardzo grubą, zgrabną filiżankę bulionu. Później jej przyniesiono omlet, jemu zaś befsztyk i kartofle. Każde z nich patrzyło w swój talerz, lub wzrokiem wybiegało hen — poza ściany i gwar restauracji. A przecież gdyby choć raz spojrzeli w swoje spokojne oczy, gdyby choć raz myśl zgorzkniała zatrzymała się uważnie na myśli drugiego, myśli schowanej pod powiekami, zawsze żywej, trawiącej mózg i duszę ciepłem i tęsknotą!

Później kobieta zapłaciła rachunek, skinęła głową towarzyszowi i wyszła. Przed wejściem na okręt chciała zwiedzić miasto, przez bulwary i groble rozłożone symetrycznie, podzielone jak należy, według uczonego planu brudną, zieloną wodą, pragnęła odnaleźć w tych palcach wielkiego morza choć jedną kroplę błękitną, którąby mówiła, że pochodzi z tej samej krwi ciepłej, z której zebrane są morza Południa.

W parę minut potem młody człowiek wsiadł do wagonu, zajął miejsce przy oknie. Patrzył obojętnie na uciekające wstecz ramiona wiatraków i gałęzie drzew, pochylonych w kierunku wiatru od morza. Dwa... trzy... znów jedno... mogły być, mogły nie być — znów dwa... jedno... tam dwa... wiatrak... dwa wiatraki... trzy... znów jeden... jeden... jest dwa...

Trzydzieści litrów benzyny.

JÓZEF ROBERT HARRER

NOWELA

AUTORYZOWANE TŁUM. A. S.

Dokoła rozciągał się malowniczy krajobraz toskański, oświetlony palącemi promieniami słońca.

Gdy młody inżynier dojechał do Grizogno, postanowił zaopatrzyć się w benzynę. Było już późne popołudnie, kozy stały zaspane na ulicach. Wtem na ścianie któregoś domu zajaśniało słowo „benzyna“.

Inżynier zatrzymał się. Cisza panowała dookoła. Zapukał trzy razy i wreszcie wyszła z domu uderzająco piękna dziewczyna i uśmiechnęła się. Inżynier pozdrowił ją i próbował swoją łamaną włoszczyzną powiedzieć, że potrzebuje trzydziestu litrów benzyny. Na to odparła dziewczyna: „O, ja rozumiem po niemiecku. — Ile litrów pan sobie życzy?

Gdy zapłacił, zapytała: „Czy nie miałby pan ochoty napić się czegoś?“ Mamy wspaniały wermut!“

Chętnie podążył za dziewczyną. Usiadł w chłodnej izbie, pił, żartował i mówił niedorzeczne komplementy, z których dziewczyna głośno się śmiała. Wermut, czarne oczy dziewczyny, jej czerwone usta: wszystko to sprawiło, że nagle zapragnął ją pocałować.

— No, no — zawołała — może nadejść mój mąż!

— Twój mąż? Czy jesteś zamężną?

Zanim odpowiedziała, odezwał się męski głos: — Marietta! Marietta!

Przestraszyła się i zaraz opuściła pokój. Niedługo potem wszedł mężczyzna, ognisty Toskańczyk. Spojrzał ponuro na młodego inżyniera.

— Co pan powiedział mojej żonie, że tak głośno się śmiała? — zapytał.

— Ja? — Nic nadzwyczajnego. — Proszę mi przynieść jeszcze jedną szklankę wermutu!

Po chwili mężczyzna przyniósł szklankę wermutu. Jego złość i zazdrość zdawały się uspokajać. Usiadł obok inżyniera i zaczął rozmawiać. Wtem znowu weszła Marietta: — „Czy wołałeś mnie Enrico?“

Mężczyzna nie zwracał na nią uwagi. Rozmawiał z przybyszem.

— Dokąd pan jedzie?

— Naprzód do Florencji.

— To najlepiej będzie jechać przez Balterję. Tam w karczmie „Pod czerwoną wiechą“, należącej do mego szwagra, może pan spożyć świetną kolację.

Marietta usiadła koło drzwi na krzesełku i uśmiechała się do inżyniera poza plecami swego męża. Włoch nagle się odwrócił i zawołał:

— Wynoś się stąd, ty kocie! — Ona nie może się powstrzymać, by na każdego obcego mężczyznę nie rzucać swoich spojrzeń — precz!

Młody inżynier, który już wiele słyszał o zazdrości Włochów, ale dotąd jeszcze nigdy świadkiem tego nie był, uśmiechnął się szyderczo i rzekł:

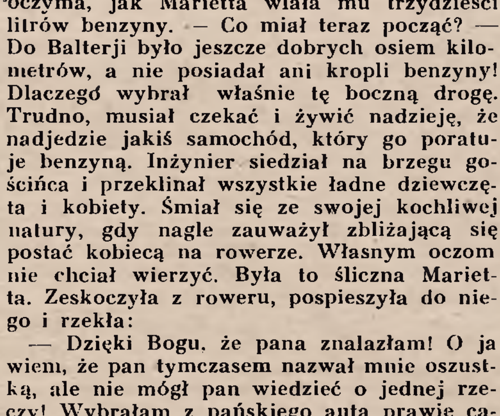
— Gdybym był kobietą, nie chciałbym być pańską żoną!

Enrico popatrzył nań złowrogo, błysnął gałkami swoich oczu, ale, że inżynier chciał właśnie płacić, mruknął tylko parę słów do siebie.

Gdy młody inżynier opuszczał Grizogno, rozglądał się nadaremnie za Mariettą. Lecz ona zniknęła.

Nie ujechał czterech kilometrów, gdy nagle wóz jego stanął. Inżynier zaczął szukać defektu, nie znalazł go jednak. Faktu, że nie miał więcej benzyny nawet nie zauważył. Po kwadransie jednak przekonał się o tem. Pokręcił głową. Widział przecież własnemi oczyma, jak Marietta wlała mu trzydzieści litrów benzyny. — Co miał teraz począć? — Do Balterji było jeszcze dobrych osiem kilometrów, a nie posiadał ani kropli benzyny! Dlaczego wybrał właśnie tę boczną drogę. Trudno, musiał czekać i żywić nadzieję, że nadjedzie jakiś samochód, który go poratuje benzyną. Inżynier siedział na brzegu gościńca i przeklinał wszystkie ładne dziewczęta i kobiety. Śmiał się ze swojej kochliwej natury, gdy nagle zauważył zbliżającą się postać kobiecą na rowerze. Własnym oczom nie chciał wierzyć. Była to śliczna Marietta. Zeskoczyła z roweru, pospieszyła do niego i rzekła:

— Dzięki Bogu, że pana znalazłam! O ja wiem, że pan tymczasem nazwał mnie oszustką, ale nie mógł pan wiedzieć o jednej rzeczy! Wybrałam z pańskiego auta prawie całą benzynę z powrotem. Mój mąż musiał zauważyć, że pan usiłował mnie pocałować. Gdy potem tak dokładnie pana wypytywał dokąd jedzie, powzięłam podejrzenie. Nie miałam jednak możności ostrzeżenia pana, musiałam choć przeszkodzić, by pan nie jechał przez Balterję. Na szczęście zatrzymał się mój mąż w pokoju u pana, tak, że mogłam pospiesznie wylać benzynę. Musi pan teraz jechać przez Feldinę, chociaż jest to z drogi W Balterja, w karczmie „Pod czerwoną wiechą“ byłoby się panu niejedno przydarzyło! Mogli np. okraść pana, lub poprzecinać opony... Mój mąż właśnie telefonował do szwagra.



Inżynier popatrzył uważnie na Mariettę, zaśmiał się i uścisnął jej rękę:

— Jesteś dzielną, młodą kobietą! Cofam to wszystko, co o tobie pomyślałem!

— Muszę już jechać z powrotem! Ach, mój mąż jest tak szaleńczo zazdrosny!

— A ty jesteś taka śliczna, że... — objął ją nagle i pocałował. Zamknęła oczy i zaczęła ciężko oddychać, potem szybko wyrwała się z jego objęć.

— Proszę mnie zostawić! A tu są pieniądze za benzynę!

— Chcesz mnie zmartwić? Pieniędzy tych nie wezmę pod żadnym warunkiem!

Popatrzyła na niego bezradnie. Potem, wsiadając na rower, rzekła:

— A więc jest pan poszkodowany!

— Pocałowałem najpiękniejszą kobietę Toskanji!

Marietta uśmiechnęła się, pozdrowiła ręką i pojechała z powrotem do Grizogno, do swego zazdrosnego męża.

W pół godziny potem nadjechał samochód. Inżynier otrzymał, po wielu prośbach, popartych kilkoma lirami, parę litrów benzyny. Mógł wreszcie jechać dalej. Po zachodzie słońca dotarł do Feldiny. Przenocował i marzył o Mariecie.

Rano wsiadł znowu do swego wozu, lecz zamiast obrać kierunek na Florencję, pojechał tą samą drogą, którą wczoraj nadjechał. Musiał znowu zobaczyć Mariettę! Nie troszczył się o to, że narażał się na niebezpieczeństwo. Może będzie miał szczęście, może zazdrosnego Enrica nie będzie w domu? Chciał wszystko pozostawić losowi.

Świeciło słońce. Inżynier zagwizdał piosenkę; nęciła go przygoda. Wyobrażał siebie jako główną postać w jakiejś romantycznej operze.

Było przecież cudownie omijać główne gościńce i szukać ludu, tego prostego ludu, z jego pierwotnemi namiętnościami. A jakie zdziwione oczy zrobi Marietta!

Jeszcze pozostało mu pięć kilometrów do Grizogno. Wtem spostrzegł jakiś samochód, stojący w cieniu pinji. Młody człowiek zawołał:

— Ach, proszę mi pożyczyć parę litrów benzyny!

— Pan pewno brał benzynę w Grizogno? I Marietta wylała potem z pańskiego wozu benzynę, aby go ostrzec?...

Młody człowiek przytaknął. Inżynier rzekł:

— To chytra para małżeńska. Pan też chciał pocałować Mariettę? Tak?... Więc wszystko jest w porządku! Pojedziemy przez Balterję, a może zaczekamy na nową ofiarę?



ręką lewą stopę, zmieniając je 10-krotnie. Dla odprężenia mięśni wyprostowujemy się, stajemy mocno na podłodze i wyciągamy ramiona silnie w pion, wykonując głęboki oddech.

Ćwiczenie VIII: Siedząc na ziemi unosimy nogi w górę, trzymając je dłońmi, przyczem pochylamy się nieco wstecz. Najpierw ćwiczymy to wolno a potem w rytmie szybszym, licząc do trzech. Na 3 szybko podnosimy nogi ku górze i pochylamy się w tył. Nie jest łatwem utrzymanie równowagi w tem ćwiczeniu, ale od czegóż silna wola i wytrwałość w ćwiczeniu?

Skłon w przód w pozycji siedzącej z wyciągnięciem ramion i ujęciem nóg.

Wszystkie mięśnie ćwiczą!



Unoszenie nóg w górę w pozycji siedzącej z lekkim skłonem w tył.

Często słyszy się zdanie: „Ach, gimnastyka taka jest męcząca i tyle zabiera czasu, że mowy być nie może o codziennych ćwiczeniach!"

I to jest właśnie przyczyną braku zbawiennych skutków, jakie niesie za sobą konsekwentne uprawianie celowych ćwiczeń gimnastycznych. Bo ćwiczenia te męczą tylko początkujących i to przez trzy — cztery dni. A i sprawa czasu może być też bardzo sporna, skoro przeznaczymy na kulturę fizyczną 10—15 minut dziennie.

Gimnastyka może nawet leczyć, o ile oczywiście prowadzi się ją w specjalnych wypadkach pod okiem lekarza. Niemniej i w drobniejszych przypadkach zdrowotne skutki ćwiczeń gimnastycznych obserwować możemy same na sobie. Jakże często zwalczać można np. bezsenność przez gimnastykę. Bezsenność, płynąca z przemęczenia, ma nieraz swe źródło w osłabieniu jakiejś grupy mięśni, z czego powstają to kurcze, to dreszcze, to „strzykania". Jeżeli przed udaniem się na spoczynek „rozruszamy" mięśnie odpowiedniemi ćwiczeniami, to ułożywszy się w łóżku, doznamy błogiego wypoczynku, który zazwyczaj sprowadza szybko sen.

Warto do repertuaru codziennych ćwiczeń wprowadzić te, w których uczestniczy jak największa ilość mięśni równocześnie. Będą one odpowiednie dla osób, pracujących w najrozmaitszy sposób, czy to stale w pozycji siedzącej, czy stojącej, czy polegającej na nadmiernem chodzeniu.

Ćwiczenie I: W pozycji klęczącej przysiadamy na piętach i skłaniamy tułów silnie ku przodowi, aby czołem dotknąć kolan względnie podłogi. Ręce wyciągnięte przed siebie prężymy jak najsilniej w przód, przyczem ciężar ciała przenosimy ku przodowi, odrywając się od pięt. Powrót do pozycji wstępnej.

Ćwiczenie II: Stojąc ze zsuniętemi kolanami i ramionami podanemi w przód, podnosimy się szybko na palcach, poczem zginamy kolana, i skłaniamy się w przód, przyczem ręce i głowa mają być zupełnie zwolnione, i swobodnie balansują. W tej pozycji postępujemy parę kroków aż się cały korpus samorzutnie wyprostuje.

Ćwiczenie III: W pozycji leżącej z dłońmi na karku unosimy nogi w górę do pionu, poczem opuszczamy je na dół, zatrzymując na jakieś 10 cm nad podłogą, aby w tym czasie wykonać kilka głębokich oddechów. Ćwiczenie to ma parę warjantów, które w miarę dojścia do perfekcji, można kolejno wykonywać. A więc, opuściwszy nogi w pobliże podłogi, rozsuwamy je w formie nożyc i łączymy z powrotem. Inna warjacja zmienia pozycję tułowia w momencie opuszczenie nóg w pobliże podłogi, mianowicie unosi się wówczas głowę i tułów nieco ku górze.

Ćwiczenie IV: W pozycji siedzącej skłaniamy tułów wstecz, wyciągając przytem ramiona w bok i unosząc nogi o 20 cm nad podłogę.

Ćwiczenie V: W pozycji siedzącej zginamy kolana i pochylając biust, otaczamy je ramionami, skłaniając ku nim głowę.

Ćwiczenie VI: Siadamy na podłodze i opieramy nogi silnie pod szafą. W tej pozycji podnosimy ramiona pionowo i skłaniamy tułów na prawo, opuszczając prawe ramię do poziomu, poczem pochylamy się w tył ruchem takim, jakgdyby prawą ręką chcąc podnieść coś leżącego daleko za nami. Powrót do pozycji wyjściowej i to samo ćwiczenie w lewą stronę.

Ćwiczenie VII: W pozycji siedzącej z wyciągniętemi przed siebie a nieco rozsuniętemi nogami, opuszczamy się miękko i bez żadnego naprężenia mięśni w przód, przyczem ręce pozostają w tyle, a po skłonie lewą ręką obejmujemy prawą stopę, potem prawą ręką lewą stopę, zmieniając je 10-krotnie.

Ćwiczenie IX: W pozycji leżącej unosimy nogi do pionu a następnie przerzucamy je silnie poza głowę, opierając palce o podłogę poza głową. W tej pozycji unosimy kolejno obie nogi w górę, opierając się drugą na palcach. Po 10-krotnem powtórzeniu wracamy do pozycji leżącej i ćwiczymy głębokie oddechanie.

Ćwiczenie X: Leżąc na plecach zginamy kolana i zaczynamy ćwiczyć, zakładając prawą stopę pod lewą łydkę, przyczem musi ona być całkiem rozprężona przez zwolnienie mięśni. W tej pozycji uderzamy prawą stopą lewą łydkę, wyrzucając ją w powietrze. Po jej opadnięciu bezwładnem na podstawioną znów prawą stopę, „zmieniamy" nogi i wyrzucamy prawą do góry. Każdą nogą ćwiczymy 10 razy.

Vera.

RENDEZ-VOUS PLACE VENDÔME



Przed pokazem trzeba pięknie ułożyć fałdy wieczorowego płaszcza (w głębi: kolumna Vendome). Rysunki: Ewa Leo. Zdjęcia: Nyt — Paryż.



Na prawo: W oczekiwaniu na występ.

Wiosenna moda rocznik 1939 nie jest zresztą wyjątkiem: pochodzi ona z nad Sekwany, jak wszystkie jej poprzedniczki z lat ubiegłych i wiele wiele jej następczyń w przyszłości. Ale w tym roku narodziny te były obchodzone specjalnie uroczyście i odświętnie.

Może dlatego, że moda tegoroczna jest taka wesoła, młoda, barwna i urozmaicona, może także dlatego, że nie wiadomo, jak długo jeszcze będzie się można modą interesować... Czy nie usuną jej w cień inne ważkie wydarzenia, nie sprzyjające zalotności, estetycznym rozkoszom i beztroskiemu zamiłowaniu do tego, co bawi i cieszy?

Pierwszym sygnałem były wiosenne kolekcje wielkich firm tekstylnych: Rodier, Ducharne, Meyer, Montagnac i inni olśnili nas z punktu pięknością swych tkanin i paletą najpiękniejszych barw. Kreacje ich w wełnach i jedwabiach dostarczyły pomysłów i sugestyj wielkim krawcom, pozwalając im snuć najoryginalniejsze zestawienia i najliczniejsze kombinacje z materjałów w pasy, kraty, grochy, kwiaty, liście, geometryczne figury itp.

W wielkich pracowniach na Champs-Elysées, rue de la Paix i place Vendôme poczęto się gorączkowo przygotowywać do wiosennych rewji modeli, będących dla Paryża prawdziwym ewenementem, dla firm zaś konfekcyjnych, decydującą o całym sezonie batalją. Czyja linja się przyjmie? Kto zwycięży konkurencję oryginalnością pomysłów? Czyje kolekcje zdobędą kapryśne i niestałe serca pięknych paryżanek?



Gdy po ostatnich „próbach generalnych", po ostatecznych poprawkach i eliminacjach, repertuar jest gotowy i należycie zestawiony, rozsyła się do prasy, rysowników, przedstawicieli firm zagranicznych i prowincjonalnych, a przedewszystkiem do klientek zaproszenia. W oznaczonym dniu szeroko otwierają się tajemnicze sezamy, piękne — przez najlepszych dekoratorów urządzone — salony napełniają się doborową publicznością, przed której krytycznem i czujnem na każdy drobiazg okiem odegra się wiosenne misterjum mody.



Hufiec smukłych, młodziutkich dziewcząt czeka z emocjami na początek widowiska. To modelki. Żyją z tego, że są młode, ładne, nieskazitelnie zbudowane i posiadają ten kunszt, który się po francusku nazywa „savoir porter la toilette". Ich wdzięk i uroda, piękne ruchy i harmonijny chód, pomogą modelom zabłysnąć w całej okazałości. Prawda, że nosić je potem będą rozmaite kobiety, często brzydkie, niezgrabne, otyłe lub stare. O to już się nikt nie troszczy, byle model spodobał się i — został sprzedany!

Dokończenie na str. 31-ej



Modelka w oryginalnej wieczorowej tualecie pozwala publiczności oglądnąć z bliska materjał i wykończenie sukni.



Na lewo: Ostatni retusz!

Życie artystyczne.

Z MIĘDZYNARODOWEGO FESTIVALU MUZYKI WSPÓŁCZESNEJ





PRZYJĘCIE NA ZAMKU: Pan Prezydent R. P. wita się z uczestnikami festivalu w czasie przyjęcia na Zamku warszawskim.

INAUGURACJA FESTIVALU: Pierwszą imprezą festivalu był koncert w Filharmonji warszawskiej, na którym wykonano „Dwadzieścia warjacyj" B. Woytowicza. Zdjęcia: Magazyn „As".

W ub. miesiącu odbył się w Warszawie i Krakowie XVII festival Międzynarodowego Towarzystwa Muzyki Współczesnej, w którym wzięło udział wielu wybitnych przedstawicieli zagranicznego świata muzycznego. Na zjeździe delegatów 11 sekc. narodowościowych omawiano m. in. i sprawy związane z radjem. Kilka charakterystycznych wypowiedzeń na ten temat warte są zanotowania: *Piet Ketting*, wybitny kompozytor holenderski docenia w zupełności doniosłą rolę radja, sam chętnie słucha audycyj radjowych, uważa jednak że nie wszystkie instrumenty brzmią równie dobrze w głośnikach. *Alan Bush*, kompozytor angielski jest zapatrywania, że radjo ma swoje dobre i złe strony i uważa, że posiada pewne granice możliwości artystycznych. Skala rozpiętości pomiędzy różnemi natężeniami dźwięków, pomiędzy forte i piano nie jest w radjo tak wielka, jak na sali koncertowej i to zmienia często właściwy wyraz utworu. *Robert de Roos*, kompozytor holenderski jest entuzjastą radja. — Uważa on, że radjo posiada dzisiaj wszelkie techniczne możliwości. — Dlatego nie ma powodu dobierać dlań specjalnej instrumentacji, natomiast ważne jest, by w harmonizacji utwór był przejrzysty i jasny. *Stanley Chapple* reprezentuje już pogląd nie kompozytorów, lecz wykonawców. Jest on bowiem wybitnym dyrygentem i podczas festivalu dyrygował utworami Anglików. — Chapple porusza sprawę mixera, który reguluje dźwięk. Stały z nim kontakt w czasie audycyj radjowych powoduje, zdaniem Chapple'a, iż wykonawca, w tym wypadku dyrygent, nie może być swobodny w interpretacji.



OBRADY JURY TOW. MUZYKI WSPOŁCZESNEJ W WARSZAWIE: (od lewej) pp. Vuckovic (Jugosławja), Gerhard (Hiszpanja), Clark (Anglja), Fitelberg (Polska), Defau (Belgja), Evans (Anglja) prezes Tow. Muzyki Współczesnej.



ANGIELSKI KWARTET SMYCZKOWY: G. Stratton, D. Taylor, E. Lutyens, J. Moore w sali Starego Teatru w Krakowie.



PIET KETTING, wybitny kompozytor holenderski, wykonał fugę własnej kompozycji.

Popołudniu, między 5 a 8-ą, to pora dnia, w której rafinowanie i wdzięk tegorocznej mody wyraża się może najpełniej. Z konieczności trochę surowy i bardziej zjednolicony strój poranny, sportowy czy spacerowy, zamieniamy na popołudniową tualetę, dającą pole do popisu pomysłowości, wytwornej elegancji, kokieteryjnym akcesorjom i przybraniom. Stereotypowa czarna sukienka „en tous cas“ wisi wprawdzie jeszcze gdzieś w kącie szafy, ale któż zechce ją nosić dziś, gdy moda daje nam do wyboru takie kolorowe cuda, powiewne, kobiece, strojne i — przedewszystkiem młode!

Skala sukien popołudniowych jest bardzo duża, od skromnych „petites robes“ czy kostjumików jedwabnych, aż do subtelnych kreacyj z tiulu, gazy lub koronek. Ale nawet te pozornie najskromniejsze mają zawsze jakiś akcent rafinowania, jakieś strojne wykończenie: żabocik z koronki, kamizelkę „lingerie“ z zakładeczek i ażurów, a bodaj wychodzący figlarnie spód krótkiej spódniczki rąbek gufrowanej lub haftowanej halki... Czasem halka ta ma falbany z haftowanego linon, tego samego, z którego zrobiony jest plastron, kołnierzyk czy mankieciki przy ciemnej sukni, innym razem zrobiona jest z barwnej szkockiej tafty, podobnie jak szarfka przy sukni, lub kokarda przy kołnierzyku.

Bardzo ładne i młode, ale tylko dla szczupłych sylwetek, są kompleciki, złożone ze spódniczki (oczywiście poszerzonej kloszami czy fałdami lub plisowaniem) bluzeczki i bolerka. Ten sam komplet granatowy, który przedpołudniem nosiłyśmy z bluzeczką z białej piki, zamieniamy na popołudniowy, przydając mu bluzkę z drobno plisowanego linon, tiulu w drobne zakładeczki lub jedwabiu imprimé w barwne kwiaty. Praktycznym i bardzo wytwornym strojem popołudniowym jest suknia ciemna jedwabna (najchętniej czarna lub granatowa) i bolerko z tegoż jedwabiu, obszyte piękną koronką



Na prawo: Suknia z sztywnego jedwabiu o oryginalnie ułożonych rękawach i baskinie z jedwabnej pasmanterji.

GODZINA 5-TA POPOŁUDNIU...



Na lewo: Popołudniowa czarna „petite robe“, ozdobiona haftowanym plastronem, obszytym koronkami. Motyl z tych samych koronek zdobi kapelusz.

lub gipiurą. Ciemne jedwabne suknie rozjaśniamy też chętnie karczkiem lub rękawkami z drobniutkich przymarszczonych walansjenek kremowych, które zdobią również rondo ciemnego kapelusza z tegoż jedwabiu, co suknia. Garnitury z walansjenek wyglądają również bardzo ładnie przy wzorzystych sukniach z krepy „imprimée“.

Największą furorę na popołudniu robią w tej chwili tiule; nic dziwnego — są czemś nowem, gdyż dotąd tiul używano tylko na wieczór, a przytem naprawdę śliczne dają efekty. Używa się zarówno tiulów gładkich jak i „imprimés“ i to nietylko na suknie, ale — nawet na kapelusze, co będzie ostatnim krzykiem mody tego lata. Najładniejsze są suknie z tiulu gładkiego, ciemnego, zrobione zupełnie skromnie, jak przedpołudniowe sukienki, przybrane tylko drobnemi zakładeczkami, czasem stebnowanym kołnierzykiem i paskiem z tafty, czasem kołnierzykiem i mankiecikami z koronek. Bardzo strojnie wyglądają suknie z tiulu w pastelowym odcieniu, od góry aż do bioder przymarszczane w pewnych odstępach tak, że całość jest zupełnie dopasowana do figury, a dopiero dołem rozszerza się silnie przymarszczona i szeroka od bioder spódniczka. Do takich powiewnych letnich kreacyj nosi się kapelusze o dużem rondzie i małej, a czasem nieistniejącej wręcz główce, ozdobione kwiatami, riuszą tiulową lub wstążkami, albo też zupełnie małe toczki z kwiatów.

Nadspodziewanie długo utrzymuje się w tym roku mora, materjał używany dotąd raczej tylko w sezonie zimowym. Robi się z niej wytworne kostjumy lub „robes manteaux“ czarne, przybrane pięknemi koronkami lub plastronami z bogato haftowanego linon. Krój jest zupełnie prosty, stanik lub żakiet zapinany na ozdobne guziki, spódniczka silnie kloszowa.

Bardzo modne na popołudniu są znowu żorżety, „crêpe romain“ i gaza: drobniutko plisowane lub marszczone, tworzą śliczne i praktyczne suknie, których wygląd łatwo jest urozmaicić, zmieniając akcesorja: granatową suknię z crêpe romain nosimy np.

raz na spodzie „cyclamen“, przybraną pękiem kwiatów w tym kolorze z toczkiem z takichże kwiatów, innym razem na spodzie granatowym z szeroką szarfą i dużym kapeluszem z jedwabiu „imprimé“, albo też z szarfą z gazy jasno-żółtej, z kapeluszem i długiemi rękawiczkami w tym samym odcieniu, co szarfa.

Każda „szanująca się“ elegancka dama, będzie miała w tym roku bodaj jedną suknię całą plisowaną — pod warunkiem, że figura jej jest dostatecznie szczupła. A plisowania są w tym roku specjalnie atrakcyjne, gdyż dają możliwości najróżniejszych odmian i kombinacyj. Plisuje się suknie w fałdy, drobniutkie fałdeczki milimetrowe, w kontrafałdy i wachlarzowo rozchodzące się gufry, z prostego materjału i ze skosów, biorąc wzór na ukos, wzdłuż lub w poprzek. Fabryki materjałów wypuściły różne ładne jedwabie letnie „imprimés“ fabrycznie w całości plisowane. Ponieważ wzór kolorowy odbija się na materjale już po plisowaniu, wewnątrz fałdów pozostaje gładkie jaśniejsze tło, co daje bardzo ładne efekty przy ruchu czy chodzeniu.

Mówiąc o modzie popołudniowej, — nie sposób nie wspomnieć o akcesorjach, które w tym roku odgrywają w tualecie szczególnie ważną rolę. Rękawiczki i pantofelki dobiera się kolorem do sukni, przyczem rękawiczki — o ile mają być kolorowe — dobieramy w odcieniach jaśniejszych, pastelowych, buciki w nieco ciemniejszych. Ładnie wyglądają sandałki na wysokich obcasach (płaskie obcasy lub grube podeszwy korkowe nadają się raczej do bucików sportowych lub sandałów plażowych) — z zamszu w kolorach „cyclamen“, szafirowym, lakowo czerwonym, szmaragdowo - zielonym lub lawendowo-niebieskim.

Torebki do letnich sukien popołudniowych nosi się najczęściej z czarnego lub granatowego zamszu, ale modne są również i w kolorach pastelowych w odcieniu rękawiczek. Najmodniejsze są fantazyjne sakiewki, okrągłe, czterogranne lub owalne z szerokim paskiem do zawieszenia ich na ręce. Często zdobi je pęk kwiatów, takich samych, co przy sukni lub kapeluszu. Do popołudniowych sukien imprimées o charakterze zupełnie letnim, nosimy chętnie torebki białe z jaszczurki lub gładkiej skórki cielęcej, która doskonale daje się myć wodą. Dobranie pięknej całości tualety popołudniowej, to może najwdzięczniejszy problem dla eleganckiej pani.

Lady Like.



Powyżej: Wytworny kostjum z czarnego jedwabiu w błyszczące pasy, spódnica układana w fałdy.



Na lewo: Suknia z jedwabiu w duży wzór kwiatowy z oryginalnemi kieszeniami.





Na prawo: Suknia z jedwabiu „imprime“, przybrana szarfą i gładkim kołnierzykiem oraz obszyciami z koronki.

Powyżej na prawo: Zgrabny komplecik z tafty w krateczkę, z szeroką kloszową spódnicą i luźnym bolerkiem



Poniżej: Strojna tualeta popołudniowa z matowego jedwabiu z bolerkiem i rozciętą spódniczką z drobnych naszywanych walansjerek.

PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka obliczone na 3—4 osoby.

PRZYSTAWKA Z MŁODYCH JARZYN. Małą czerstwą bułkę ociera się na tarce z wierzchniej skórki i zalewa szklanką mleka pół na pół z wodą, w którem się ma rozmoczyć, poczem przeciera się wszystko przez sito. Do masy tej dodaje się jajko, troszkę soli, oraz 10 dkg mąki i rozbija rogalem na dość płynne naleśnikowe ciasto, z którego wysmaża się cienkie naleśniki. Młode jarzynki jak: marchewkę, groszek, szpinak, szparagi, kalarepkę itp. wszystkiego po troszce dusi się każde z osobna w troszce masła z jak najmniejszym dodatkiem wody. Osobno sporządza się gęsty beszamel z łyżki masła, tyleż mąki i mleka. Do każdej jarzynki dodaje się po łyżeczce tego beszamelu, zagotowuje i napełnia niemi omletki, które się następnie zwija lub składa przez pół i podaje ułożone na półmisku, polane masłem i posypane rumianą bułeczką. Potrawa ta podana z purée ziemniaczanem i sosem np. holenderskim lub pomidorowym, może stanowić smaczną jarską kolację.

SZPINAK „A L'AMERICAINE". Na bardzo upalny dzień, przyda się może jaroszom trochę niezwykły dla nas przepis podawania szpinaku na zimno. A mianowicie: Pół kg młodego szpinaku oczyszcza się i zagotowuje szybko w słonej wodzie, odcedza następnie, przelewa zimną wodą, wyciska, sieka i przeciera przez sito wraz z rozmoczoną w mleku małą bułeczką. Przetartą masę miesza się z dwoma surowemi żółtkami, dodaje dwie łyżki ubitej na piankę kremówki oraz pół szklanki auszpiku nagotowanego z cielęcej nóżki. Masę kontroluje się czy dość słona, dodaje szczyptę białego pieprzu, który nie jest jednak konieczny, następnie napełnia się nią okrągłe płaskie foremki natarte oliwą i wstawia na lód celem zastudzenia. Okrągłe krajanki bułki troszkę większe niż wspomniane wyżej foremki, osmaża się na maśle z obu stron i ostudzone smaruje masłem lub majonezem, poczem wykłada się na nie zastudzony szpinak i przybiera pośrodku i dookoła siekanem twardem jajem.

SOS Z RZODKIEWEK. Czerwone rzodkiewki (mogą być użyte nawet trochę już wyrośnięte), kraje się drobno i gotuje w troszce wody. Ugotowane zagęszcza się lekką zasmażką z masła i mąki i dodaje soli i troszkę gałki muszkatułowej, zagotowuje i podaje do sztuki mięsa. Sos ten podany być może na zimno. Do tego celu należy go przefasować i zaostrzyć proszkiem Curry lub tylko musztardą. Doskonały do zimnych mięs lub szynki.

SAŁATA „KRÓLOWEJ MARJI". Nie wiem która to królowa Marja delektowała się tą naprawdę doskonałą sałatką. Smakosz, który mi ten przepis podawał nie umiał mi tego wyjaśnić. Zresztą to nie ważne, grunt że sałatka dobra. Dodatki do niej są następujące: 20 dkg buraczków, 20 dkg ziemniaków, 5 dkg cebulki, 5 dkg chrzanu, dwa kwaśne jabłka. Buraki i ziemniaki oczywiście ugotowane i drobno posiekane. Reszta starta na tarle, wszystko polane sokiem wyciśniętym z dużej cytryny i wymieszane z sosem sporządzonym: z 4 twardych żółtek, 4 łyżek oliwy, 4 roztartych sardelek, łyżki purée pomidorowego, 5 dkg utłuczonych orzechów włoskich i 3 łyżki gęstej śmietany. Mięszać wedle starej recepty po warjacku. Sałatkę układa się kopiato na szklanej płycie, posypuje siekanemi białkami jaj, oraz szczypiórkiem i w drobne paski pokrajaną zieloną sałatą.

LEGOMINA Z SERA. Dwa żółtka uciera się z 5 dkg cukru i 5 dkg masła, następnie dodaje się 25 dkg dobrze odciśniętego i roztartego twarożku, 6 dkg wymytych rodzynków, wkońcu 4—6 łyżek tartej bułki i pianę z 2 białek. Z dobrze wymieszanej masy formuje się podłużne krokietki, panieruje je w jajku i bułeczce, poczem osmaża na rozpalonem maśle. Krokietki podawać można na ciepło posypane cukrem z wanilją lub też na zimno z bitą kwaśną śmietaną.

RABARBAR CZYLI RZEWIEŃ obecnie namiastka drogich i skąpo domierzanych nam owoców, nie każdemu jest sympatyczny. Dobrze przyrządzony w poniżej podany sposób zastąpić może doskonale kompot owocowy. Funt łodyg dobrej odmiany rabarbaru, obupuje się, kraje w małe kawałki i parzy wrzącą wodą na misce porcelanowej; w wodzie pozostawia się je przez pół godziny. W międzyczasie gotuje się syrop z 10 dkg cukru i szklanki wody, wrzuca osączony z wody rabarbar, gotuje przez 5 minut i odstawia przykryty aż do ostudzenia.

KRUCHY PLACEK Z KREMEM CYTRYNOWYM: Zrobić kruche ciasto z filiżanki mąki, dobrej łyżki masła, łyżeczki cukru i jednego żółtka. W kamiennym garnku zagotować szklankę wody ze szklanką cukru, dodać sok i skórkę z 2 cytryn, 2 kopiate łyżki mąki pszennej i dwa żółtka. Ubijać to na parze do gęstości. Ciepłym kremem posmarować placek po upieczeniu i nałożyć na wierzch pianę ubitą z 2 białek z dodatkiem cukru do smaku. Wstawić placek do rury dla lekkiego zrumienienia.

Sc. Ko.

PRAKTYCZNE WSKAZÓWKI DLA PAŃ DOMU



Nie należy dopuszczać do zatłuszczenia kołnierzy marynarki czy zarzutki, ale skoro się to już stanie, można oczyścić je przy pomocy szczotki, zwilżonej silnie roztworem amonjaku (1 część amonjaku, 10 części wody). Amonjak rozpuszcza tłuszcz, który znika zupełnie przy szczotkowaniu.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Święta rzym.-kat. | **Tydzień 19** | **Maj** | **Dni 31**

Niedziela 7 Domiceli



Zupa wiosenna z grzankami. Macedoine z jarzyn. Kurczę w śmietanie z kluseczkami. Galaretka owocowa z keksami.
Kolacja: Sałatka królowej Marji z szynką.

Poniedziałek 8 Stanisława b.

Rosół z krajaną kaszką. Sztuka mięsa z sosem rzodkiewkowym. Kotlety cielęce z sałatą. Kompot z rabarbaru.
Kolacja: Ziemniaczki z kefirem domowym.

Wtorek 9 Grzegorza

Zupa ryżowa z parmezanem. Omlety z jarzynkami. Fałszywy zając z makaronem i sałatą. Legomina z sera.
Kolacja: Płucka cielęce w sosie cytrynowym.

Środa 10 Izydora Oracza

Barszcz z botwinki z twardem jajem. Szpinak na grzankach. Rulada cielęca duszona w jarzynach. Kruchy placek z rabarbarem.
Kolacja: Pieczeń z obiadu z sosem majonezowym.

Czwartek 11 Adolfa, Beaty

Zupa szparagowa z grzankami. Kalarepka z masłem. Polędwica wieprzowa z sałatą. Osie gniazda /legomina drożdżowa/.
Kolacja: Szpinak z parówkami.

☾

Piątek 12 ...kracego

Makaron na śmietanie. Budyń grzybowy. Pstrągi na niebiesko z masłem i sałatą. Ryż z konfiturami zapiekany.
Kolacja: Awanturka /ser, szczypiorek, rzodkiewka, śmietana/.

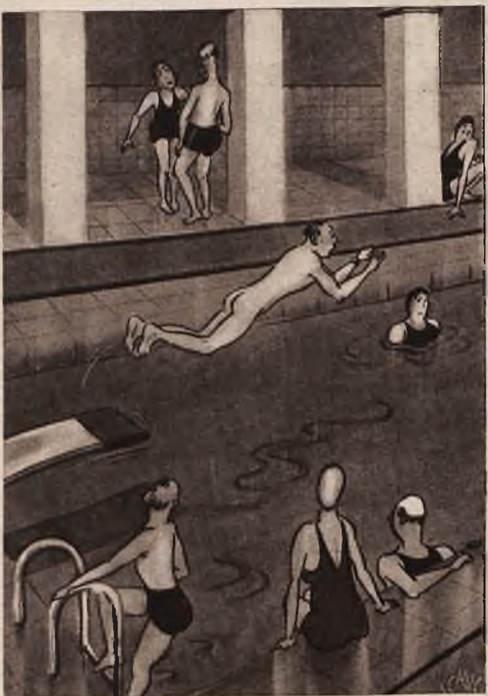
Sobota 13 ...icego

Rosół z grzybkiem. Omlet z szpinakiem. Kura z rosołu z sałatą. Kisiel czekoladowy, lub z rabarbaru z kremem.
Kolacja: Kaszka krakowska na grzybach.



HOCKI-KLOCKI

LEPIEJ PÓŹNO JAK NIGDY.



Gość w pływalni: — Do djaska, zapomniałem zdjąć zegarek z ręki!

„Esquire“

Rozwiązanie z Nru 18-go.

ROZWIĄZANIE. OJCIEC I SYN.

Ojciec ma 23 lata.

DRZWI.

Jest 6 możliwych sposobów. Kwadraciki na rysunku przedstawiają drzwi.

Ludzi oznaczamy kolejno cyframi 1, 2 i 3

	□	□	□
1.	1	2	3
2.	1	3	2
3.	2	1	3
4.	2	3	1
5.	3	1	2
6.	3	2	1

LITERY I LICZBY.

$$\begin{array}{r} 333 \\ 777 \\ \hline 1110 \end{array} \qquad 1110 : 3 = 370;$$

ROZRYWKI UMYSŁOWE

TRZY POKOLENIA.

Dziaduś i tatuś mają razem 102 lata. Mamusia z wnuczkiem zaś liczą 34 lata. Ile lat posiada każda z tych osób, jeśli tatuś jest 5 razy starszy od synka, a dziaduś żyje już 2 razy dłużej aniżeli liczy pomnożona przez siebie cyfra lat wnuczka.

LICZBA 999.

Liczba 9 przypisywano w starożytności, obok 7 i 3, specjalne własności. Przedmiotem dzisiejszego zadania będą aż trzy dziewiątki — liczba 999.

Proponujemy Czytelnikom dokonać na tych 3 dziewiątkach działań matematycznych tak, aby otrzymać wyniki: 1, 4 i 15.

OPOWIADANIE LOTNIKA.

Należy wskazać fałsz w poniższem opowiadaniu lotnika:

„W czasie wojny z niepokojem śledziłem samotny lot obserwacyjny mego przyjaciela, który leciał nad linjami nieprzyjacielskiemi. Gdy już wracał z powrotem, zadowolony, że po drodze nie spotkał żadnych nieprzyjacielskich samolotów, nagle został zestrzelony niezwykle celnemi strzałami dział przeciwlotniczych. Mój przyjaciel zginął, nim ktokolwiek z nas mógł dobiec do zestrzelonego samolotu“.

TARYFA.



Szeryf do pary narzeczonych: — Zapłacicie więc najprzód pięć dolarów za udzielenie ślubu, a pięćdziesiąt dolarów kary za nieposiadanie zezwolenia na noszenie broni!

„Esquire“

Dokończenie ze str. 25-ej.

Cała armja szwaczek dokonuje pod surowem okiem kierowniczek pracowni ostatniego retuszu, już na modelkach. Każdy fałd musi odpowiednio się rzucać, nic nie śmie odstawać, kręcić się lub zwisać bez fantazji.

Wśród muzyki i dowcipnych zapowiedzi, zaczyna się defilada modeli. Zjawiają się na podjum, jednodniowe królowe paryskiej wytworności i elegancji, suną lekkim, pełnym krokiem, dobranym do typu sukni: raz powolnym, majestatycznym — stylowa tualeta o szerokiej, szeleszczącej spódnicy, to znów sprężystym, sportowym krokiem amazonek — młodociany model sportowego ensemble'u. Obracają się pomału, jak lalki, podchodzą do publiczności, pozwalają się oglądać przez okulary, lorgnony, cwikiery i lornetki, dotykać łakomym niewieścim rękom powiewnych falbanek i riuszek, cennych koronek, barwnych kwiatów i piór. Każda ma numerek w ręku, numer kreacji którą w danej chwili nosi.

Gdy tylko któraś z pań zwróci na dany model szczególną uwagę, zjawia się za nią „essayeuse“ z notatnikiem w ręku. Zachwala jej zalety, objaśnia szczegóły wykończenia, informuje o cenie, pokazuje próbki materjałów, z jakich może być wykonany. Jeśli klientka się decyduje, zapisuje zamówienie. Model jest już sprzedany. Kupno takie kosztuje niesłychane sumy. Toteż przeważnie zamawia się tylko kopję, ryzykując dla oszczędności, że parę innych takich toalet pojawi się w Paryżu, a bardzo wiele poza Paryżem, a nawet poza Francją. Ale cóż wyłączność na dany model nie opłaca się zupełnie: prócz materjału, roboty i dodatków, opłacić trzebaby słono sam pomysł, rzecz najtrudniejszą i największej wymagającą pracy, nietylko krawca, ale rysowników.

Dlatego też na rewjach nie wolno modeli fotografować, ani rysować. Prawo autorskie w odniesieniu do modeli jest bodaj surowsze i bardzie przestrzegane od prawa autorskiego w literaturze, grafice czy fotografji.

Po skończonych wiosennych pokazach modeli, pozostają jeszcze inne okazje do demonstrowania ich i lansowania wśród eleganckiej publiczności: to premjery w Operze paryskiej, bale i wyścigi. Posyła się na te imprezy najładniejsze modelki w najefektowniejszych strojach; zadaniem ich jest pokazać dany model, zwrócić nań uwagę i wzbudzić uznanie i zachwyt. Po każdej takiej imprezie zamówienia na kopje napływają licznie, oryginalne zaś modele, noszone już kilkakrotnie przez manekiny firmowe, sprzedaje się taniej na prowincję i — na zagranicę.

Odrazu w pierwszych tygodniach odbywa się samorzutnie eliminacja ostateczna. Jeden model robi furorę, staje się typem, wzorem, inspiracją dla setek pomniejszych firm konkurencyjnych. Drugi się nie przyjął, kobiecy areopag przyjął go chłodno i krytycznie. Jeden pomysł staje się przebojem sezonu, inny zostaje bezapelacyjnie odrzucony i zaniechany. Nie ma na to rady, paryżanki mają swoje gusta i fantazje, nie dopuszczają do tego, aby wielcy krawcy narzucali im modę po dyktatorsku.

Gdy moda wiosenna jest już szczęśliwie wylansowana, w wielkich pracowniach zaczyna się pomału przygotowywać następną kampanję: narodziny mody jesiennej i zimowej. Jakże podziwiać musimy tych mistrzów mody paryskiej w ich niestrudzonym wysiłku i niewyczerpanej pomysłowości!

E. M.

IDZIEMY DO TEATRU...

...w Warszawie.

— do Teatru Narodowego, który gra obecnie nową komedję Marji Jasnorzewskiej p. t. **„Popielaty welon"**. Utwór ten wywołał dużą dyskusję wśród krytyków, gdyż obfituje w liczne zalety, ale też i w powtarzające się u autorki wady. Boy Żeleński trafnie charakteryzuje podejście autorki do swych komedyj:

„Do mnóstwa pomysłowo komplikowanych przygód, z jakich się plecie „teatr miłości" p. Marji Jasnorzewskiej, dodać należy tę, która się zdarza czasem samej autorce: tę mianowicie, że się zakochuje — niby Pigmaljon w Galatei — we własnej bohaterce. Miłość bywa ślepa — to jej prawo. Nie dziw więc, że szczęśliwy jej przedmiot korzysta ze wszystkich przywilejów, w danym wypadku z przywileju eksterytorjalności w sferze satyry, że on jeden — a raczej ona jedna — wychodzi cało spod tuszu złośliwości, których ostre pióro komedjowe naszej świetnej poetki nie szczędzi pozatem rodzajowi kobiecemu w jego młodszych i starszych egzemplarzach. Że jednak ten lubczyk nie na wszystkich odbiorców działa jednakowo, fakty sceniczne mogą mieć dla każdego inną wymowę i w ten sposób łatwo mogą powstać dwie komedje: jedna zamierzona, druga nie zamierzona".



Marja Jasnorzewska.

Sztukę reżyserował dyr. Zelwerowicz, a główne role doskonale grają: Gorczyńska, Kajzerówna, Wasiutyńska, Śliwiński, Ciecierski, oraz Michalska i Leśmianówna. Krytycy szczególnie wyróżniają grę pani Dulęba, która jako hrabina Zebrzydowiecka stworzyła świetną kreację. Piękne dekoracje przygotował Stan. Jarocki.

...w Krakowie.

— do teatru im. Juljusza Słowackiego, gdzie dyr. Karol Frycz wznowił nie graną od wielu lat sztukę Scribe'a i Legouvé **„Adrjanna Lecouvreur"**, pamiętną z wielkiej kreacji aktorskiej Heleny Modrzejewskiej. Sztukę tę wystawiono starannie w reżyserji W. Radulskiego, i w imponującej oprawie dekoracyjnej dyr. K. Frycza. Świetnie rolę tytułową gra heroina krakowskiej sceny Zofja Jaroszewska, mając wybornych partnerów w osobach J. Jabłonowskiej i S. Czajkowskim. Inne role sumiennie grają Arczyńska, Bednarska, Wroński, Fabisiak i in.

Teatr krakowski przygotowuje jednocześnie komedję Szekspira „Jak się wam podoba" w nowym przekładzie A. Polewki i w nowej inscenizacji.

TO CO NAJCELNIEJSZE

NA PÓŁKACH KSIĘGARSKICH:

Ukazało się nowe dzieło **Wacława Berenta** p. t. **„Zmierzch wodzów"** (nakł. Gebethnera i Wolffa). Jest to zamknięcie jego opowieści biograficznych, rozpoczętych „Nurtem", którego dalszym ciągiem był „Diogenes w kontuszu" — jak powiada K. Czachowski: — „jedno z najgłębszych dzieł naszej literatury współczesnej, które zrodziło się z serdecznej troski o pomyślność narodu, z wielkiego umiłowania dóbr duchowych i z chęci pouczenia społeczeństwa o niezbędnej potrzebie ich utrzymania i dalszej uprawy".



Ostatnie ogniwo cyklu powieściowego Berenta daje syntezę tej epoki narodu polskiego, gdy z widowni dziejów schodzili wodzowie oręża, a na czoło społeczeństwa wysuwali się ludzie pióra, sięgający po rząd dusz. „Nadzieją naszej przyszłości i ojcem narodu", pierwszym wodzem doby bezhetmańskiej — jak go nazwał Berent — był Juljan Ursyn Niemcewicz, bohater spod Maciejowic, przyjaciel Kościuszki i Waszyngtona, pisarz, który po powrocie z Ameryki obwołany został poetą naczelnym. Wielbiciele poety obdarzyli go lapidarnym określnikiem „Człowiek—Polska". Niemcewicz — zdaniem Berenta — rozpoczyna szereg tych, którzy hetmanili narodowi mocą ducha.

Opowieść biograficzną o Niemcewiczu poprzedzają dwa rozdziały, poświęcone dwóm ostatnim wodzom doby Królestwa Polskiego: wielkiemu księciu Konstantemu i Henrykowi Dąbrowskiemu. Berent, jak trafnie z okazji „Diogenesa w kontuszu" powiedziała Z. Starowieyska-Morstinowa „ogarnia wszystko: zwycięstwa i klęski, prawdy i pomyłki, to, co napełnia nas dumą i to, co napełnia nas wstydem, bo to wszystko było „biosem", a dlatego, że nim było, dało początek temu, co mamy: życiu dzisiejszemu. To wszystko dało początek temu, co mamy najlepszego, najaktywniejszego, tego, co trzyma w ręku rzecz najważniejszą „wolę po narodach". I to właśnie jest wielką ideową donioslością dzieła Berenta, to jest jego olbrzymim ciężarem gatunkowym".

Berent ponadto zmienia nasze nastawienie do danej epoki, nasze spojrzenie na perspektywy historyczne. Zauważyć to można silnie zwłaszcza w rozdziale, poświęconym narzuconemu nam przez Rosję wodzowi, wielkiemu księciu Konstantemu.



Wacław Berent.

Konstanty w oświetleniu Berenta to psychopata o dużych walorach dodatnich, rozmiłowany w wojsku polskiem, zamierzający je usamodzielnić, broniący wojska przed carem, ale równocześnie człowiek surowy, wręcz okrutny. Jak zanotował Maurycy Mochnacki, zagorzały wróg Konstantego, był on „jednym z najdziwniejszych, najoryginalniejszych ludzi, o których kiedykolwiek historja pisała!". Berent częściowo rehabilituje Konstantego, stwierdza, że choć „wszczepił Moskala w dusze Polaków", to jednak nie miał nic przeciwko oderwaniu Polski, Litwy od znienawidzonej przez siebie Rosji. Nie doszło jednak do porozumienia się i zżycia Konstantego z narodem polskim.

Opowieść o gen. Henryku Dąbrowskim silnie podkreśla, że był on nietylko legendarnym już dla nas wodzem oręża, ale także zapamiętałym bibljofilem, zbieraczem cennych dzieł sztuki, wybitnym estetą, żywiącym szczególny kult dla nauki i literatury. Jeszcze w ostatnich chwilach życia recytacjami wierszy i rozsądnych nauk pobudza. do działania podwładnych sobie oficerów.

*

Świeżo na półkach księgarskich ukazała się (nakł. J. Mortkowicz, Warszawa) nowa powieść **Czesława Straszewicza**, autora „Wyprawy Bogów", „Gromów z jasnego nieba" i wybornej powieści „Przeklęta Wenecja". Nowe dzieło Straszewicza, który już dziś zaliczany być musi do czołowych prozaików współczesnego naszego piśmiennictwa i wysoko ceniony dla śmiałości i odpowiedzialności poruszanych zagadnień, ujmowanych w formę oryginalną, nosi tytuł: **„Litość"**, a poświęcone jest zobrazowaniu przemian psychicznych, zachodzących w duszy współczesnego Niemca, którego partja wyrywa z błogostanu życiowego i skazuje na walkę z życiem.

Straszewicz doskonale zna polityczne i obyczajowe tło swojej powieści, umie kapitalnie emocjonować dobrze związaną fabułą, a przedewszystkiem świetnie zna duszę człowieka i niezwykle sugestywnie maluje jego wewnętrzne przeżycia.

(swb)

NA POLSKIEJ ANTENIE:

Dzień 12 maja to nietylko smutna rocznica, przypominająca chwilę, w której odszedł od nas na zawsze Józef Piłsudski. Dzień ten zbliża nas również ku rozmyślaniom nad twórczą pracą zwycięskiego Wodza, którą wyprowadził Polskę ku wolności i całe życie pracował dla Jej potęgi i wielkości.

Radjofonja polska w **piątek** dnia 12 maja organizuje audycje poświęcone pamięci Józefa Piłsudskiego. O godz. 19,00 mówić będzie gen. Kazimierz Sosnkowski. — O godz. 18.00 nadaje Kraków audycję poetycką „Krypta pod wieżą Srebrnych Dzwonów" pióra M. Lisiewicza. Treścią tego słuchowiska przeżycia wewnętrzne każdego z nas, gdy znajdzie się w obliczu majestatu Wawelu, pod Wieżą Srebrnych Dzwonów, która stała się dzisiaj ośrodkiem współczesnej myśli polskiej. O godz. 20.20 nadany zostanie utwór Maklakiewicza p. t. „Ostatnie werble". — O godz. 20.40 rozpocznie się żałobna audycja pt. „W godzinę śmierci".

Z pośród audycyj najbliższego tygodnia szczególną uwagę należy zwrócić na następujące: W **niedzielę** dn. 7 b. m. o godz. 16.55 teatr wyobraźni występuje z premjerą nowego słuchowiska J. Morawskiej p. t. „Las". — We **wtorek** dnia 9 b. m. o godz. 21.00 transmituje Polskie Radjo z „Teatro Communale" we Florencji operę Rossiniego „Cyrulik Sewilski". — W **poniedziałek** dn. 8 bm. o godz. 16.55 usłyszymy audycję p. t. „Menażerja muzyczna przez radjo", która przyniesie szereg utworów muzycznych, podających w formie groteskowej lub poważnej charakterystykę zwierząt. — We **środę** dn. 10 b. m. o godz. 17.15 koncert solistów w którym wystąpią artyści węgierscy: Irena Eyssen i Ferenc Albert. — We **czwartek**, dn. 11 b. m. o godz. 18.00 usłyszymy transmisję koncertu ze Sztokholmu, poświęconą w całości utworom szwedzkiego kompozytora Hugona Alfvena. W **sobotę** dn. 13 b. m. o godz. 19.40 odbędzie się koncert wymienny z Szwajcarją. Polska nadawać będzie pieśni kurpiowskie, melodje podhalańskie, tańce ludowe. Szwajcarja natomiast odpowie melodjami ludowemi kantonów, zamieszkałych przez ludność francuską, niemiecką i włoską.



Wieża srebrnych dzwonów, w której mieści się sarkofag z prochami Marsz. Piłsudskiego.

W ramach audycji dla dzieci usłyszymy: w **poniedziałek dn. 8** b. m. o godz. 15.00 pierwszą audycję z cyklu słuchowiskowego p. t „Tajemniczy ogród" — we **środę** dn. 10 b. m. o godz. 11.00 audycja dla szkół: słuchowisko W. Jastrzębskiej p. t. „Na Wawelu".

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa", zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych materjałów Redakcja nie zwraca. — Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczenia egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji. — Zakłady Graficzne "IKC", Kraków, Wielopole 1, pod zarz. Fr. Czajki. Miejsce wydania: Kraków, Wielopole 1.